TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

Rok I., No. 41 — Nowy Jork, 17 października, 1943 — New York, 21, N. Y., October 17, 1943 — Cena 10 ct.

KAZIMIERZ SUSZCZYŃSKI

W SŁUŻBIE JEGO KRÓLEWSKIEJ MOŚCI

(FRAGMENT OPOWIADANIA NA TLE ŻYCIA POLSKICH DYWIZJONOW BOMBOWYCH W ANGLJI)

W odległości około dwudziestu mil, w lewo od nas, dymiło się jeszcze Coventry, jedno ze wspanialszych miast angielskich. Już z rana, przed śniadaniem, słyszałem w "B. B. C. News" że Niemcy bombardowali Coventry, ostatniej nocy. Miasta tego jeszcze nie znałem. Pomimo to jakiś dziwny żal ogarniał mnie na widok olbrzymiego słupu dymu, zasłaniającego Coventry. Palące się miasta pamiętam jeszcze z wojny w Polsce. Do tamtych czasów chciałem powrócić w swej wyobraźni. Niestety! Nie byłem zdolny odtworzyć wojny w Polsce. Pamiętałem tylko jedno. Ostatni start do lotu komunikacyjnego w dniu 1-go września 1939 roku, z lotniska w Gdyni, podczas bombardowania miasta i lotniska. Wówczas nie zdawałem sobie sprawy z niebezpieczeństw lotu podczas wojny na samolocie, nie posiadającym uzbrojenia.

Dzisiaj, tak jak i wówczas, byłem poraz ostatni na samolocie komunikacyjnym. Tym razem jednak, w jakże innych warunkach i w jakże inny sposób myślałem o wojnie.

Dziś wreszcie poczułem niezwyciężoną chęć zniszczenia wszystkiego co niemieckie. Dzisiaj właśnie, siedząc za sterami bardzo miłego samolotu angielskiego jakim jest "Dragon-fly," czułem się tak jakbym siedział na potężnym bombowcu, a palące się obok miasto było jednem z miast niemieckich, na które skierowane zostało ramię sprawiedliwości.

Spojrzałem w lusterko w kabinie pilota. Dziwnie złośliwy i zbójecki wyraz mej twarzy przypadł mi do gustu. O, więcej nawet. Wydawało mi się że będę się bardziej cieszył, gdy sam będę zabijał i mordował!

Koledzy, znający mnie jeszcze z Polski, cieszyli się na mój widok. A może raczej że i ja dołączę do kompanji instruktorskiej i wreszcie przestanę pyskować, że tylko tchórze są instruktorami podczas wojny. Właściwie to przecież ja sam nie wierzyłem w to, co mówiłem. Zdawałem sobie sprawę, że doświadczeni piloci muszą pełnić tę funkcję. No, a pozatem uważałem że dadzą sobie radę bezemnie. Niestety! Na niczyją pomoc nie mogłem liczyć w wykonaniu swego planu.

Jedyna nadzieja pozostała jeszcze w Komendancie Stacji, generale K. Do niego też udałem się natychmiast po przybyciu na swe nowe miejsce postoju. Już sam wygląd generała dodał mi wiele otuchy. W możliwie najbardziej wojskowej formie, na jaką się tylko jako rezerwista mogłem zdobyć, zameldowałem:

"Panie generale, melduję się posłusznie do Operational Training Unit, na przeszkolenie i zgranie z załogą."

Generał spojrzał na mnie, uśmiechnął się i rzekł:

"Sam, osobiście prosiłem o porucznika by przyszedł tu na instruktora."

"Panie generale", przerwałem mu, "ja się nie czuję dobrze w tej funkcji, a pozatem nie mogę uczyć tego, czego sam nie znam." Po chwili dodałem "Zrobię parę lotów, zobaczę jak wygląda wojna i potem wrócę tutaj" — a w duchu myślałem "w maju" co też u mnie znaczy — nigdy!

Generał podał mi rękę i życząc powodzenia na wojnie, sięgnął po papierosa. Raport uważałem za skończony. Odmeldowałem się tak szybko, jak tylko mogłem i doprawdy nie wiem sam kiedy znalazłem się w kasynie oficerskim zadowolony z przebiegu raportu. Jeszcze się obawiałem że "stary" pod wpływem moich kolegów może zmienić swe zdanie. Obawy moje okazały się niesłuszne.

Nazajutrz zameldowałem się u właściwego dowódcy "flight'u." Zrobił ze mną parę lotów. Najpierw sam. Potem dał mi innego instruktora, a wreszcie po paru dniach zapytał, poco wogóle do niego przyszedłem. Tego tylko czekałem. Pewien byłem że z chwilą, gdy zostanę przeniesiony do innego flightu i tam dostanę załogę, żadna siła nie będzie zdolna nas rozdzielić.

Załoga. Czy ktoś właściwie zdaje sobie sprawę z tego, co to właściwie znaczy załoga? "Dobierz sobie sam załogę" — powiadają koledzy. A ja się pytam jak? Jak się to robi? Nie! Ja nikogo nie będę namawiał. Nikomu nie mogę zagwarantować bezpieczeństwa wojny. Nie chcę by mnie wytykano kiedyś palcami i mówiono — to właśnie ten zabił mego syna, on go namówił do latania z nim. Może gdyby nie on, syn mój, czy też mąż żyłby jeszcze.. Odpowiedzialność pilota wobec załogi jest wielka. Postanowiłem czekać aż los da mi załogę.

Któregoś dnia, tak jak zwykle po lunch'u, postanowiłem się zdrzemnąć. Wychodzę przed hangar, w którym mieścił się nasz flight, by znaleźć jakieś, wygodne do drzemki, krzesło. Spojrzałem wokół. Wszystkie krzesła były zajęte. Słońce w Anglji jest bardzo rzadkiem zjawiskiem, nawet latem. Dlatego też, każdego słonecznego dnia, każdy kto tylko mógł, wychodził korzystać z rozkosznych promieni słonecznych.

Nie znalazłszy odpowiedniego dla siebie miejsca, chciałem wracać do hangaru. Nagle jeden z siedzących oddając mi swe krzesło, powiada:

"Niech no pan porucznik siada. Ja mam do pana pewną prośbę. Gdyby pan potrzebował tylnego strzelca, ja bym się bardzo prosił."

Nie miałem gotowej odpowiedzi. Zmierzyłem go wzrokiem. On zaś dodał:

"Bardzo pana proszę. Strzelać umiem. Już w Polsce wojowałem jako strzelec samolotowy. Mam już jednego "szwaba" na swem koncie!"

Ten chłopak przypadł mi do gustu. Częstując go papierosem, obserwowałem jego ruchy — tak długo, jak tylko wypadało to robić. Wreszcie mówię mu:

"Dziękuję sierżantowi za zaufanie do mnie. Nie mam jeszcze załogi i nie wiem kiedy będę miał. Jak się nazywacie?"

"J....ski Antek" pada odpowiedź.

Jego sposób mówienia, jego ruchy i wygląd przekonał mię wkrótce że jest dobrym typem do mojej załogi... mojej przyszłej załogi! Jeszcze chciałem do niego mówić, ale już go nie było. Usnąłem.

Nie wiem właściwie jak długo spałem. We śnie miałem już całą załogę. Już się z nią szykowałem do wojny. Nagle zbudziło mnie wołanie:

"Panie poruczniku, mam kolegę do "nosa."

Leniwie otwieram oczy i oglądam nowego członka mojej załogi.

"Nazwisko" — pytam, chociaż ten raczej wygląda na lalkę aniżeli żołnierza.

"B ....cz Janusz" — odpowiada — "przedni strzelec i radiotelegrafista. Więcej jednak strzelec."

"Dobry chłopak i żołnierz, gdy jest ze mną" dodaje Antek.

Podziękowałem im obu i udałem się do flight'u by zameldować dowódcy, że już mam połowę załogi. Następnego dnia już miałem załogę. Mało tego.. W parę godzin mieliśmy już pierwsze zadanie wykonane. Po locie wołam załogę i powiadam:

"Słuchajcie koledzy! Czy wiecie co znaczy załoga? Załoga — to są przyjaciele na śmierć i życie. Ludzie, zdecydowani robić wszystko by ratować jeden drugiego. Ludzie, którzy nie mają przed sobą żadnych sekretów. Powiedziałem przyjaciele, dlatego też od tej chwili — ja jestem Kazik. Nie chcę słyszeć żadnego "panie" Krótka wymiana imion i serdeczne uściski dłoni, świadczące, że w razie potrzeby każdy może liczyć na pomoc wszystkich, zakończyły mą pierwszą w życiu odprawę, odprawę dowódcy załogi.

Po dwóch tygodniach treningu opuszczamy stację i udajemy się do dywizjonu. Dywizjon 305. Nieoficjalnie imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego. Tu stawiam swe pierwsze kroki. Podczas gdy załoga czeka, aż zostanę wprowadzony w wojnę, lecę po raz pierwszy z bardzo dobrym kolegą. Jeden z pilotów komunikacyjnych w Polsce. Z pochodzenia wilnianin. Tak jak i ja. Kulawy. Ma jedną nogę krótszą po kraksie w Polsce, gdzieś tam pięć czy sześć lat temu. Daje mi instrukcje, jak się lata na wojnie.

"Najważniejsze — powiada — to się nie bać. Ci co się bali, już nigdy więcej nie będą, choćby nawet chcieli". Zrozumiałem, że już dawno nie żyją. Johny ciągnął dalej: "Pamiętaj, jak strzelają tu — to ty wyrywaj tam". Jak zwykle pomagał sobie gestykulacją. "No a zresztą — dodaje — poto lecisz ze mną, żebyś zobaczył wojnę." Właściwie to go wogóle nie zrozumiałem. Nie było czasu na inne pytania ani też obszerniejszy wykład. Szykowaliśmy się do lotu. Wogóle nie wiedziałem co mam myśleć o wojnie. Wreszcie widząc go, wkładającego potężny rewolwer do buta lotniczego, pytam:

"Johny, a po jaką ty to cholerę z sobą bierzesz?"

"Żeby się za owcę nie zostać jak przyjdzie skakać nad Niemcami"—rzucił mi od niechcenia a przytem spojrzał na mnie tak okropnym wzrokiem, że pewien byłem żem go obraził.

No — pomyślałem sobie, on rozumie wojnę. Takiemu to się nic nie stanie, on jest gotów na wszystko. A on ma już dwanaście lotów na bombardowanie Niemiec! Biało-amarantowa beretka "Krzyża Walecznych" na jego piersi świadczy o nim najlepiej.

Cel: Kolonja. Niemcy nazywają: Koln. Mniejsza teraz o nazwę. Teraz chodzi o to, jak właściwie wygląda wojna. Czy latanie na wojnę jest doprawdy tak bardzo niebezpieczne? Dlaczego tak wiele maszyn nie wraca z wojny? Oto co mnie najbardziej interesowało.

Bombardowanie dobrze mi znane, gdy sam byłem na ziemi, a inni zrzucali bomby, jak będzie wyglądało, gdy ja będę rzucał je na innych? Czy to nie da żadnych wyrzutów sumienia, że się morduje ludzi?

Po chwili namysłu doszedłem do wniosku że Niemcy to przecież nie są ludzie, że oni sami nas nauczyli jak się innych morduje...

Sprawdziliśmy zawieszenie bomb w samolocie, karabiny, benzynę i doprawdy nie wiem dlaczego Johny zaglądał niemal w każdą dziurę. Wsiadamy wreszcie do samolotu. Johny siada po lewej stronie ze sterami. Ja się przymierzam do prawego siedzenia. On trąca mnie i mówi: "Te, pasażer musi stać cały czas żeby lepiej widzieć, co się na wojnie robi". Na taką uwagę cała załoga wybuchnęła śmiechem. Tylko mnie jednemu nie było wesoło. Dopiero teraz zazdrościłem im ilości lotów. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak można stać przez sześć czy też siedem godzin.

Johny lekko zwiększa obroty silników. Spuszcza dźwignie hamulców. Wellington toczy się powoli. Widać odrazu, że Johny odsiedział już nie jeden tysiąc godzin za sterami samolotu. Wydawałoby się, że samolot sam idzie tam, gdzie Johny chce żeby szedł. O, Johny to wysokiej klasy pilot! Byliśmy już na drugim końcu lotniska, ustawieni pod kątem prostym do kierunku startu. Johny raz jeszcze obejrzał się i dał rozkaz załodze:

"Przestrzelać karabiny!"

Bez chwili zwłoki odezwały się najpierw tylne a zaraz po nich przednie Zapach spalonego prochu i hałas strzałów zbudziły mnie z zadumy. Przypomniałem sobie, że przecież wybieram się na moją pierwszą wojnę.

"Czas jeszcze wysiąść z samolotu" szeptało mi coś do ucha. "Jeszcze jesteśmy na ziemi! Za chwilę już będzie za późno!" Tak jakbym nie chciał słyszeć tego okropnego głosu namawiającego mnie do tchórzostwa, obejrzałem się wkoło. Słońce, połowę swej czerwonej tarczy, skryło się poza linję horyzontu. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Johny siedział spokojny, wpatrzony w światło sygnałowe na starcie. Wiedziałem, że czeka na zielone światło — pozwolenie do startu.

Dlaczego on jest taki spokojny? Czy zabijanie ludzi przychodzi mu tak łatwo? Jak on to może robić? On, człowiek tak wspaniałomyślny i wielkoduszny, jak tylko może być wilnianin, wydał mi się podobnym do jednego ze zbójców z "Powrotu Taty". Te same długie, kręcone wąsiska. On, który nie może się obejść bez mówienia przez parę sekund, teraz siedzi skupiony, myślący.

Czerwone światło na starcie zmieniło się w oka mgnieniu w kolor zielony. Johny pchnął manetki silników do przodu. Ustawił samolot do startu. "Start" — rzekł spokojnym głosem, głosem bez najmniejszego podniecenia i wepchnął "pełny gaz". Posłuszny mu Wellington, pomimo, że miał ze sobą cztery tysiące funtów bomb, ruszył z miejsca. Toczył się coraz szybciej. Coraz mniej dotykał ziemi. Wreszcie oderwał się od niej. Byliśmy w powietrzu. Już na dwustu stopach wysokości Johny wkłada samolot w lewy skręt. Robi rundę dokoła lotniska. Sprawdza pracę silników. Każdego z członków załogi pyta, czy wszystko w porządku. Kieruje samolot na środek lotniska. Tu zmienia się zupełnie. Wesołym głosem krzyczy do mikrofonu "Set course". Oznaczało to, że zdecydował się na lot do wyznaczonego celu.

Dla mnie powrotu już nie było. Pogodziłem się z losem. Co ma się stać, niech się stanie! Zginąć na locie bojowym to także zaszczyt! Lepiej, sądzę tak, niż pod bombami niemieckiemi...

Wyciągnąłem z kieszeni "battle-dress'u" kalendarz i pod datą 7go lipca 1941 roku, wpisałem: "Zemsta jest rozkoszą bogów. Pierwszy lot na Niemcy. Kolonja". Może pisałbym więcej gdyby nie Johny, pytający mnie, co ja właściwie piszę. "Testamentów — powiada — Niemcy nie honorują. A na pisanie poezji jeszcze za wcześnie. Poczekaj aż wejdziemy nad cel. Tam będzie weselej!"

Nic mu nie odpowiedziałem. Wogóle nie lubię rozmawiać z ludźmi złośliwymi. On mi się takim wydał. Zacząłem żałować, że z nim się wybrałem na wojnę.



PUŁASKI
(Rzeźba Ksawerego Dunikowskiego)

Widząc linję brzegu morskiego, wołam nawigatora i mówię mu:

"Wychodzimy na morze. Widzę brzeg!"

"Widzę brzeg już od pół godziny" — wtrąca się znów Johny.

Nie wiem właściwie, czy mówił prawdę. Mam wrażenie że nigdy się tego nie dowiem. W każdym razie nigdy nie zrozumiem, jak mógł widzieć w ciemnościach. Rozmyślanie nad jego zdolnościami nocnego widzenia sprawiło, że bez przerwy, przez pewien czas, stale tylko myślałem co mam robić, by nie być gorszym od niego. To, a nic innego, sprawiło, że po pewnym czasie krzyczę:

"Widzę brzeg niemiecki!"

"To są chmury!" stwierdził Johny i w dodatku prosił mnie, żebym nie wprowadzał nawigatora w błąd. Już teraz wogóle nic nie wiedziałem. Nawet gwiazdy zaczęły mi się wydawać pękającymi pociskami artyleryjskimi. Uparłem się że pierwszy zobaczę ogień artylerji. Promienie wschodzącego księżyca z poza chmur, to była dla mnie paląca się Kolonja. Spadające gwiazdy — niemieckimi nocnymi myśliwcami.

Po przeszło godzinie lotu Johny powiada do nawigatora:

"Wchodzimy na brzeg niemiecki w całkiem właściwem miejscu". Nigdy nie będę wiedział, czy było to naprawdę właściwe miejsce! Linję brzegu zobaczyłem dopiero po dokładnem przyglądaniu się ziemi, będącej w ciemnościach nocy. I to właściwie wyglądało raczej na chmury. Patrzenie do dołu z bocznej szyby pilota wcale nie wydawało mi się zbyt wygodnem, to też położyłem się na szybie bombardjera, będącej w podłodze samolotu. Stąd miałem dużo lepszą widoczność. Pomimo wszystko, nie chciałem jeszcze uwierzyć, że już byliśmy nad terenem niemieckim. Na wyjaśnienie nie potrzebowałem długo czekać. Za chwilę strzelił w górę olbrzymi strumień światła. Reflektor — pomyślałem. Nic o nim Johnemu nie mówiłem, jako że postanowiłem już przedtem więcej się nie wygłupiać i nie ośmieszać wobec obcej załogi. Właściwie to tym razem nie mogłem popełnić żadnej pomyłki. Reflektor napewno był reflektorem. W żadnym wypadku nie mógł być latarką.

Wysoki strumień światła, biegnący hen gdzieś z dołu, do nas, będących na wysokości piętnastu tysięcy stóp i sięgający jeszcze wyżej, koloru lekko niebieskiego, krążył w koło samolotu. Opuściłem moje, tak wygodne miejsce na szybie bombardjera, chcąc przyglądać się, jak właściwie Johny reaguje na obronę niemiecką. Starając się nie patrzeć na snop światła, patrzyłem wyłącznie na mego mistrza sztuki wojennej. To okropne światło wydawało się stale krążyć w koło naszego samolotu. Po chwili zauważyłem dopiero, że Johny nie daje się złapać w jego strumień. Reflektor z lewej — to on skręca samolotem w lewo tak długo aż strumień światła znajdzie się z prawej. A potem znów to samo w drugą stronę. Ze zdenerwowaniem przyglądałem się tej całej, jak powiedział tylny strzelec, zabawie. Trwała ona przez parę minut. Pytam Johnego, czy to już wszystko.

"Nie martw się — odpowiada — to dopiero początek."

Spojrzałem na niego z prawdziwem zdziwieniem i tak strasznie żałowałem że z samolotu nie wysiadłem, gdy jeszcze był na ziemi. Teraz już było zbyt późno. On, ten okropny Johny powiada mi:

"Wysiadaj jeżeli ci się nie podoba. — Niemcy będą chętnie cię widzieli."

Tym razem odpowiedź miałem gotową.

"Wysiądę razem z tobą" — rzuciłem do mikrofonu.

Samolot był pełen jaskrawego i silnego światła. Do pierwszego reflektoru dołączyły jeszcze inne, zamieniając ciemności nocne w zupełny dzień.

To już pewnie koniec — pomyślałem. Johny, ciągle spokojny, pociągnął samolot do góry jednocześnie robiąc skręt w lewo. Stożek reflektorów, a było ich pewnie więcej niż dwadzieścia, skierował się za nami. Samolot ciągle darty do góry skręcał w lewo. Nagle Johny rzucił go w głęboki prawy skręt z jednoczesnem, gwałtownem pochyleniem się do przodu. Byliśmy odrazu w ciemnościach nocy. Reflektory zostały z lewej strony. Już się rozbiegły. Rozpoczęły nerwowe przeszukiwanie nieba. Czasami któryś tylko zawadził o nas. Johny ciągle jeszcze dusił samolot. Szybkość wzrosła ze stu dwudziestu mil na godzinę do stu osiemdziesięciu. Reflektory pozostały daleko w tyle.

Stwierdziłem, że latanie na Niemcy wcale nie jest tak bardzo niebezpieczne, jak ja sobie wyobrażałem. Pomimo to nie chciałem by obrona niemiecka zaczepiała nas od nowa. Dziwiłem się tylko, że Johny, mając tak wiele doświadczenia w lataniu na Niemcy, wcale nie stara się omijać zgrupowań reflektorów. Myśląc nad tem sam, nie mogłem znaleźć zadawalającej mnie odpowiedzi. A jako że postanowiłem z nim nie rozmawiać, to też nie wypadało się go pytać. Wiedziałem że nie zniósłbym żadnej więcej ironji pod mym adresem.

Nawigator przecisnął się obok mnie do nosa samolotu i położył się wygodnie na szybie bombardjerskiej. Ja jeszcze ciągle stałem. Chciałem pójść do tyłu, tam gdzie siedzi radiotelegrafista. Naprawdę zazdrościłem mu, że on leci, nie wiedząc gdzie. On nigdy nie wie, czy do samolotu strzelają. Nie widzi nigdy żadnego nocnego myśliwca. On ma spokojny żywot. Tak chciałbym się z nim zamienić miejscami. Zapewne zrobiłbym to, gdyby nie Johny. Pocożem wogóle z nim poleciał?...

"Bombardowanie zaczęte" — woła przedni strzelec. Spojrzałem do przodu. O Boże! Tam doprawdy było piekło. Tysiące jednoczesnych błysków w powietrzu od pękających pocisków artyleryjskich różnego rodzaju. No i przysiągłbym, co najmniej, ze dwieście reflektorów.

Myśl, że przecież Johny umie latać i nie pozwoli się zestrzelić oraz parę "Zdrowasiek" uspokoiło mnie zupełnie. Stałem wpatrzony w bombardowanie jednego z najpiękniejszych miast niemieckich.

Johny woła nawigatora. Tamten się odzywa. Johny daje mu instrukcje:

"Podejdziemy do celu od wschodu. Tam mniej strzelają. Obrona dzisiaj wyjątkowo silna!"

"Dobra"— pada odpowiedź nawigatora. Samolot skręca w lewo. Po paru minutach lotu Johny robi skręt w prawo. Skręca w kierunku na cel. Tak, idzie prosto na cel! Czułem lekkie podniecenie. Może się nawet i bałem...

"Idę na cel. Otwieram drzwi bombowe". — krzyczy Johny do mikrofonu

Nie leciał dłużej niż minutę. Nagle ściana reflektorów pochyla się prosto na nas. Masa błysków na ziemi. To artylerja otworzyła ogień. Gwałtownym skrętem Johny ucieka do tyłu. Zrozumiałem całą zabawę i decyzję Johna. Chcę podejść do celu zupełnie niezauważony. Gdzieś od strony niebronionej. Po jakimś czasie znów skręca na cel. Tym razem udało mu się. Najspokojniej w świecie przechodzi pomiędzy dwoma stożkami reflektorów. W jednym z nich jest samolot! To był napewno samolot! W samym środku stożka i ognia artyleryjskiego. Biedne chłopaki! — pomyślałem — czy oni stamtąd wyjdą?

Johny otwiera ponownie drzwi komory bombowej. Nawigator co chwilę podaje mu:

"W lewo. Jeszcze w lewo. Za dużo. W prawo. Dobra. Trzymaj kurs. Jeszcze parę sekund. Poszły!"

Tego momentu nie zapomnę nigdy. Że bomby poszły czuliśmy to dobrze wszyscy. Samolot natychmiast podskoczył do góry. Johny zamknął komorę bombową i w tej samej chwili rzucił samolot w skręt — skręt, tak głęboki, że wydało mi się że robi go przez plecy. Kurczowo złapałem się za jego kolano.

"Patrz w prawo" — rzucił do mikrofonu.

Ledwo obróciłem głowę w prawo. A tu, dokładnie na naszej wysokości, cała masa pocisków. Zaraz na końcu prawego skrzydła. Wogóle nie chciałem myśleć, co byłoby z nami, gdyby Johny nie skręcił samolotu tak gwałtownie.

"Czy to już wszystko?" pytam załogę, żałując naprawdę, że mamy wracać do domu.

"Na dzisiaj wszystko — odpowiada Johny — następnym razem będziesz miał więcej."

"Siadaj teraz do sterów — woła mnie po chwili — wracaj do domu!" Leniwie i powoli podnosi się ze swego siedzenia.

"Uważaj na reflektory. Pamiętaj co ci mówiłem".

Jakże i co wogóle miałem pamiętać, gdyż przecież do mnie nic nie mówił Śmiał się tylko. Ja mu tego nigdy nie zapomnę. O Johny, jak bardzo chciałbym mieć cię kiedyś u siebie za drugiego pilota. Dałbym ci tę samą szkołę!

Posłuszny rozkazom kapitana samolotu gramolę się za stery. Naprawdę z trudem mi to szło. W ciemnościach zmieniać się sterami, będąc ciągle jeszcze w ogniu artylerji przeciwlotniczej, wydało mi się szaleństwem. Na szczęście obrona Kolonji zajęta była widocznie tymi, którzy szykowali się dopiero do wyrzucenia bomb. Nam dali spokój. A może wiedzieli dobrze, że nam nic nie zrobią. Może żałowali amunicji. Ale chyba nie. Mają jej dużo.

Lot powrotny odbywał się spokojnie. Nawet reflektory nie chciały nami zawracać sobie głowy. Wszystkie ułożone były w stożki. Stożek obok stożka. Zupełnie bez wysiłku przechodziłem pomiędzy nimi. Dopiero tuż przed wyjściem na morze, parę z nich skierowało się w naszą stronę. Po paruminutowej zabawie, podczas gdy jak na zbawienie, czekałem na ukazanie się brzegu morskiego, przedni strzelec zaraportował, że jesteśmy na brzegu.

"Jesteśmy uratowani — pomyślałem i pchnąłem z całej siły stery samolotu do przodu. Wellington poszedł na "mordę". Szybkość wzrosła do dwustu dwudziestu mil na godzinę. Wiedziałem że teraz najlepszą obroną była ucieczka...

Nie wiedzieliśmy poprostu, jak znaleźliśmy się na brzegu angielskim.

Był już świt.

Ziemię widać było bez trudu. Anglja jeszcze spała. Rozejrzałem się w koło. Ze wszystkich stron widać było samoloty. — Wszystkie, lecące w jednym kierunku. Do Anglji. Podałem do nawigatora miejsce przekroczenia brzegu. Po chwili dostałem nowy kurs lotu. Tym razem kurs do domu.

Ciągle jeszcze nie mogłem sobie wyobrazić, że byłem nad Niemcami Nie mołem też w żaden sposób przekonać siebie że już mi nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Oba sposoby myślenia były jakoś dziwnie nierealne.

Siedzę wpatrzony przed siebie i zamyślony. Nagle trąciło mię coś w nogę. Oglądam się. To Johny, zaspany, zmęczony, brudny i nie ogolony wyłazi z nosa. Wygląda naprawdę śmiesznie. Wiem co robił. Spał na szybie bombardjera. Zbudził się dopiero teraz. Patrzy na mnie, ciągle zaspanemi jeszcze oczyma i pyta:

"Czy jeszcze żyjemy? Gdzie jesteśmy? Dlaczego tak powoli lecisz?

"Za pięć minut będziemy lądowali" — odpowiadam.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

EWANGELJA

Ulecz nas, ziemio trwała, ziemio sama w sobie,
Świecie nasz teraźniejszy i przyszły nasz grobie.

Niech z twym oddechem parnym iść nam będzie można
Od traw do chmur wysokich, pielgrzymko nabożna.

Zgubionym podaj drogę, stań się między nami,
Przewodniczko pór roku, ziemio nad ziemiami.

Daremny trud nasz odmień, jak plon twój się zmienia,
Rachubo losów płynnych, wskazówko istnienia.

Zalicz nas do twych wiernych i twych pożytecznych,
Zakrystjo, gdzie doczesność ma wiew rzeczy wiecznych.

Na pustyni nas posiej, rzuć jak ziarno chleba,
Matko zbóż, siostro wody, plemiennico nieba.

Owoc twego żywota, ludzie uleczeni,
Twe płody powtórzymy i zbiory w jesieni.

Wszystko co się pod twoją uciekło obronę,
Ule pełne pośpiechu, byliny zwarzone.

Co wiąże klucze ptaków, pogody odmierza,
Ziemio nieosiągnięta i arko przymierza.

Co trwa nad naszem trwaniem. Przez śmierć się nie dzieli.
Tyle na dzień dzisiejszy daj słów ewangelji.

LEOPOLD WELLISZ

CO MYŚLĄ EKONOMIŚCI AMERYKAŃSCY O PRZYSZŁOŚCI

Większa, niż gdziekolwiek na świecie, liczba placówek uniwersyteckich, zapewniających dogodne warunki pracy, kilka opartych na wielomiljonowych fundacjach instytucji poświęconych studjom ekonomicznym, wysoki poziom intellektualny oraz niezależność gospodarcza i polityczna wielu uczonych — oto przyczyny znakomitego rozwoju badań ekonomicznych w U. S. A.

Ekonomiści amerykańscy poświęcają więcej czasu wysnuwaniu z naukowej analizy praktycznych norm dla racjonalnej organizacji gospodarki, aniżeli teoretycznym badaniom nad powszechnością i powtarzalnością zjawisk gospodarczych.

Obecne myśli ich są skierowane głównie ku problematom związanym z przyszłością ustroju gospodarczego po wojnie.

Przyczyny wybuchu wojny

Z natury rzeczy nasuwa się im przedewszystkim pytanie, w jakiej mierze niedomagania gospodarcze przyczyniły się do wybuchu obecnej wojny, co należy w dziedzinie gospodarczej przedsięwziąć dla zapobieżenia ponownemu powtórzeniu podobnej katastrofy.

Poza kilku uczonymi, jeszcze całkowicie ulegającymi wpływom ideologji niemieckiej, ekonomiści tu nie przeceniają roli czynników ekonomicznych w zespole okoliczności, które wywołały wojnę.

Przeważa opinja, głoszona m. i. przez jednego z czołowych ekonomistów, prof. J. Vinera, iż niedomagania gospodarcze nie były przyczyną wojny, a tylko przyspieszyły jej wybuch, gdyż osłabiły opór społeczny w państwach Osi przeciwko wojnie, zwykle tem większy im lepsze są warunki gospodarcze.

Ciężkie przesilenie gospodarcze na całym świecie przed wojną, wielu amerykańskich uczonych, (m. i. H. A. Wooster) uważa za skutek egoistycznej polityki USA.

Tak jak fatalnem pod względem politycznym było usunięcie się USA od uczestnictwa w Lidze Narodów, również złem było odgrodzenie się chińskim murem celnym od krajów dłużniczych. Stanowisko zajęte przez USA na konferencji ekonomicznej w 1933 r. i dewaluacja dolara ostatecznie poderwały już przedtem niezbyt trwałą równowagę gospodarczą świata.

W porównaniu ze skutkami błędów amerykańskich, względnie mniejszą szkodę wyrządziło obciążenie Niemców rzekomo nadmiernemi odszkodowaniami wojennemi; tu nietyle zasada, ile metoda stosowana była błędna.

Prof. J. B. Condliffe winę anormalnych stosunków przypisuje w równej mierze błędnej polityce gospodarczej W. Brytanji, jak USA a także nieumiejętności obu tych mocarstw wraz z Francją zahamowania wzrostu nacjonalizmu gospodarczego Niemiec i przeciwdziałania ich nacjonalizmowi politycznemu.

Zapatrywania radykalne charakteryzują opinję prof. M. Lernera. Z faktu, że wojna jest skutkiem zespołu skomplikownych niedomagań ekonomiczno-polityczno-psychologicznych w organizacji społeczeństw, wyprowadza on wniosek, że dla zabezpieczenia pokoju niezbędne jest nie tylko wzmocnienie sprawności demokratycznego ustroju politycznego, lecz również ulepszenie działania ustroju gospodarczego przez racjonalnie planowaną interwencję państwową i przez "zdemokratyzowanie" organizacji gospodarczej drogą zwiększenia wpływów pracowników.

Niezależnie od różnic w poglądach na przyczyny wojny, wnioski co do przyszłości są przeważnie zgodne, że warunkiem trwałego pokoju jest zarówno silna organizacja polityczna, jak też racjonalniejsze, niż dotychczas, unormowanie stosunków gospodarczych na całym świecie.

Zasadnicze cele gospodarcze Ameryki na okres powojenny

Oczywiście punktem wyjścia dla wszelkich rozważań o organizacji gospodarczego ładu powojennego na świecie jest wytyczenie celów, do których dążyć się winno, i sposobów ich osiągnięcia.

Cele gospodarcze amerykańskie nie przedstawiają nic niezwykłego ani nowego. Polegają one na zapewnieniu obywatelom stałego zatrudnienia i umożliwieniu coraz pełniejszego zaspakajania potrzeb.

Natomiast na rozważanych przez amerykańskich ekonomistów sposobach osiągnięcia tych zamierzeń odbijają się niektóre wspólne, a odmienne od europejskich i angielskich cechy, będące skutkiem wpływu środowiska i dziejów USA.

Tak np. uczeni amerykańscy znajdują się pod znacznie silniejszem wrażeniem kryzysu lat trzydziestych aniżeli europejczycy.

Kryzys ten zaskoczył USA. nagle w okresie, jak się wydawało niczem nie ograniczonych perspektyw dalszego świetnego rozwoju, w okresie, w którym tu nie było racjonalnego prawodawstwa socjalnego. Wywołał on olbrzymie bezrobocie, powszechny spadek dochodów i kilkuletnią nędzę około 25 miljonów ludzi. Pomimo dziesięcioletnich zabiegów interwencyjnych, kryzys ten nie był jeszcze całkowicie przezwyciężony nawet w 1939 r. Pamięć o tem załamaniu jest tak świeża i ciągle jeszcze tak silna, iż prawie wszyscy ekonomiści uważają, że powtórzenie kryzysu wtrąciłoby USA w odmęt anarchji i doprowadziłoby do załamania ustroju gospodarczego prywatno-kapitalistycznego.

W koncepcjach rozwiązania problematu, jak uniknąć przesileń w przyszłości, antagonizmy klasowe odgrywają w Ameryce bez porównania mniejszą rolę, aniżeli w Europie. Pamięć o możliwościach, które miljonom przedsiębiorczych ludzi dawała do niedawna, gdyż jeszcze do 1890 r, t. zw. "frontier" oraz codzienna praktyka, wykazująca trwanie "opportunity" dla dzielnych jednostek, opportunity, która w znacznej mierze dzięki dostępności wykształcenia doprowadza nierzadko i obecnie jednostki zupełnie pozbawione środków materjalnych do szczytów dobrobytu i władzy, sprawia, że w Ameryce przeświadczenie o niezbędności walki klasowej jest zjawiskiem wyjątkowym. Nie tyle, często tylko przejściowa, przynależność do danej klasy zawodowej wpływa na światopogląd, ile nastawienie psychiczne zależne od najrozmaitszych okoliczności (pochodzenia, religji, tradycji rodzinnej, zdolności, powodzenia indywidualnego i t. p.).

Przeciętny Amerykanin ustosunkowuje się do zagadnień gospodarczych nietyle w zależności od tego, z jakiej warstwy społecznej pochodzi i jaki wykonuje zawód w danym czasie, lecz zależnie od tego, czy z usposobienia kładzie on większy nacisk na "security", czy na szanse, które daje "adventure".

Stanowisko socjalistów

Wobec swoistych warunków rozwoju społecznego i państwowego do rzadkości w U. S. A. należą głosy zalecające ortodoksyjne socjalistyczne metody dla zmiany ustroju przez upaństwowienie narzędzi produkcji.

Ci, którzy najgłośniej przepowiadają możliwości rozwoju w tym kierunku, jak np. Doman, Lange i po części Schumpeter, względnie niedawno tu przybyli z Europy a w miarę zaznajamiania się z rzeczywistością amerykańską probują dostosować zasady marksizmu do tutejszych warunków.

Choć idee socjalistyczne są popularne wśród młodzieży akademickiej, liczba ekonomistów-socjalistów jest niewielka, a za hasłem realizacji socjalizmu nie stoi dotąd żadna większa siła społeczna.

New Deal

Natomiast w stadjum częściowej realizacji znajdują się od czasu prezydentury F. D. Roosevelta reformy, propagowane przez ekonomistów, obejmowanych ogólną nazwą New Dealowców. Są między nimi różne odcienia.

Najbliżsi socjalistom uważają kapitalizm prywatny za przestarzałe, niedoskonałe narzędzie i pragną ideały socjalistyczne, dążące do zmniejszenia nierówności majątkowych i upaństwowienia środków produkcji, wprowadzać w czyn stopniowo, głównie metodami polityki podatkowej i kredytowej, zamiast tych środków, które były zalecane przez Marksa.

Inni, uznając ustrój prywatno-kapitalistyczny teoretycznie za lepszy od kapitalizmu państwowego, zalecają zachowanie go i naprawianie jego braków, a w szczególności łagodzenie cechujących ten ustrój kryzysów perjodycznych za pomocą mniejszej lub większej (co do miary i rodzaju) interwencji państwa.

Teorje Keynesa o przyczynach kryzysu

Fundamentem ideowym teoretyków New Deal'izmu jest teorja Lorda Keynesa, uważająca za główną przyczynę kryzysów występujących perjodycznie, nieprodukcyjne gromadzenie nadmiernych oszczędności, co zarówno zmniejsza siłę nabywczą odbiorców dóbr konsumpcyjnych jak też hamuje rozbudowę aparatu produkcyjnego.

Dla zaradzenia temu, państwo powinno stosować odpowiednie zarządzenia fiskalne, w celu powiększenia dochodów szerokich warstw konsumentów. Państwo winno prócz tego wywierać wpływ na rynek pieniężny celem pobudzenia przedsiębiorczości prywatnej i dla zapewnienia stałego zatrudnienia uruchamiać wielkie roboty publiczne. Obowiązkiem państwa jest utrzymywać zatrudnienie i dochód narodowy na właściwym poziomie w tych okresach, gdy przedsiębiorczość nie okazuje dostatecznej prężności. Natomiast interwencja państwowa winna wpływać hamująco, gdy nadmierny rozwój przedsiębiorczości zwiastować zaczyna niebezpieczeństwo "boom'u" i ponownego załamania.

Działalność państwa nie powinna być krępowana względami równowagi budżetowej, ani obawami o nadmierny wzrost zadłużenia wewnętrznego państwa.

Konkretny program postępowania w myśl tej teorji opracował ostatnio m. i. prof. A. H. Hansen, doradca Federal Reserve Board i inspirator planów National Resources Planning Board.

Hansen twierdzi, że dla zapewnienia pełnego zatrudnienia po wojnie niezbędne jest utrzymanie w USA dochodu narodowego netto na poziomie od $135 do 150 miljardów dolarów wobec $95 w 1941 i ca $70 w 1939 r., dowodzi, że w tym celu niezbędne jest poza odpowiednią polityką podatkową i finansową oraz stworzeniem pomyślnych (zresztą przezeń nie specyzowanych bliżej) warunków dla przedsiębiorczości prywatnej, wielki, obliczony na dziesięciolecia, program robót publicznych, choćby nie rentownych, lecz zapewniających stałe zatrudnienie wielu miljonom pracowników. Wydatki państwowe na normalne potrzeby budżetowe i na roboty publiczne łącznie, według jego obliczeń powinny i mogą w USA dojść do 40 miljardów rocznie.

Dla orjentacji przypomnieć warto, że w 1938 r. wydatki państwowe w USA wyniosły 7,7 miljarda dolarów.

Roboty publiczne podjąć należy bez względu na to, jaki wzrost długu państwowego to spowoduje, gdyż przy stałem zatrudnieniu i przy stałym rozwoju gospodarczym powiększenie długu wewnętrznego państwowego nie przedstawia według niego żadnego niebezpieczeństwa.

Gwarancja zbytu produkcji

Ponieważ roboty publiczne teoretycznie mają być stosowane głównie w celu zatrudniania tych, którzy w przedsiębiorstwach prywatnych nie potrafią znaleźć pracy, nasuwa się pytanie, w jaki sposób można zapewnić stałe funkcjonowanie przedsiębiorczości prywatnej w maksymalnych rozmiarach. Fundamentem przedsiębiorczości prywatnej jest wytwarzanie dóbr. Wytwórczość przy współczesnym stanie techniki i organizacji zależna jest przedewszystkiem od możności zbytu. Na tle przeświadczenia o nieograniczonych możliwościach finansowych państwa powstała idea m. i. bardzo zalecana przez jednego z wybitniejszych New Dealowców, prof. M. Ezechiela, głównego doradcy ekonomicznego Ministerstwa Rolnictwa, żeby państwo zagwarantowało przedsiębiorczości zbyt całkowitej produkcji. Skoro zbyt będzie zabezpieczony dzięki gwarancji państwa, nic nie będzie stało na przeszkodzie do utrzymania maksymalnej wytwórczości, wielkiego dochodu narodowego i stałego dobrobytu. Pozornie prosta, niby przypominająca jajko Kolumba idea, jednakże nie jest do urzeczywistnienia bez całkowitego regulowania przez państwo produkcji i cen, bez olbrzymiego zaangażowania się finansowego państwa we wszystkich dziedzinach gospodarki. Byłoby to początkiem socjalizacji.

Długi państwowe wewnętrzne

Możliwości finansowe dla wykonania tego rodzaju programu "expanding economy" za pomocą nieograniczonego powiększania długu państwowego, ostatnio rozważał prof. S. E. Harris.

Według jego obliczeń dług państwowy nawet w fantastycznej wysokości $4,000 miljardów dolarów mógłby być oprocentowany bez dezorganizacji finansów państwowych i bez inflacji, w razie doprowadzenia dochodu narodowego do zupełnie, zdaniem jego, realnej wysokości $280 miljardów rocznie.

Przeciwko temu ostatnio wystąpił stanowczo prof. H. Moulton, prezes Institute of Economics, Brookings Institution, w książce p. t. The New Philosophy of Public Debt.

Wykazuje on niemożliwość uniknięcia inflacji w razie przekroczenia dopuszczalnej granicy zadłużenia państwa. Granica ta jest zależna od właściwego stosunku sumy wydatków budżetu państwowego wraz z kosztem obsługi długów — do dochodu narodowego.

Zwalczanie inflacji bez wyrzeczenia się ekspansji długu państwowego jest w czasach pokoju do pomyślenia tylko przy stosowaniu totalitarnych metod gospodarczych i politycznych.

Szybkie powiększania zadłużenia państwa, podważające zaufanie do stałości waluty amerykańskiej, jest niezgodne z planem międzynarodowego ustabilizowania walut.

Wobec tego polityka gospodarcza oparta na idei nieograniczonego powiększania zadłużenia wewnętrznego państwa jest niedopuszczalna, zaś teorje i praktyka skrajnego skrzydła New Deal'owców, są zgubne pod względem politycznym i gospodarczym i nie powinny być tolerowane przez Amerykanów.

Zwolennicy liberalizmu

Biegunowo odmienne stanowisko od New Deal'owców zajmuje nieliczna grupa ekonomistów liberałów, zwolenników pozostawiania działalności gospodarczej wyłącznie przedsiębiorcom prywatnym.

Najbardziej zbliżonym do przebywającego tu obecnie prof. L. von Misses'a znanego obrońcy czystego "laisser-faire", jest profesor uniwersytetu w Chicago H. C. Simons, wysuwający hasło odzyskanie na powojenny okres "what was good in the 19-th century (relative free trade, free movement of private capital, individualism...)."

Liberali wykazują, że wbrew teorji Keynes'a, nie nadmiar i niedostateczne inwestowanie oszczędności są przyczyną przesileń, lecz niemożliwe do uniknięcia niewspółmierności między produkcją a konsumpcją, które interwencja państwa przeważnie zaostrza. Zdaniem ich przedsiębiorczość prywatna zapewni możliwie maksymalne zatrudnienie i dalszy wzrost dobrobytu społecznego, gdy państwo ograniczy swą rolę do zabezpieczenia jej pomyślnych ram rozwojowych.

Ekonomiści wypowiadający się za ograniczoną interwencją

Stanowisko pośrednie zajmują ekonomiści twierdzący, że interwencja państwa powinna wyrażać się nie w formie robót publicznych lub przedsiębiorstw rządowych à la Tennessee Valley Authority ani też w bezpośredniem regulowaniu cen i płac, lecz że winna ona polegać tylko na czynnem regulowaniu prawidłowego działania mechanizmu cen oraz na stosowaniu odpowiedniej polityki podatkowej i pieniężnej dla łagodzenia wahań konjunkturalnych.

Pozytywny, głęboko umotywowany wykład takiego programu dał ostatnio uczony polski prof. Michał A. Heilperin w wydanej przez "The University of Chicago Press" rozprawie p. t. Economic Policy and Democracy. (Serja: "Public Policy Pamphlets").

Prof. uniwersytetu w Harward S. H. Slichter, w "Summary of American Economic Objectives", zgromadził argumenty na dowód, że praktyka interwencjonizmu New Deal'owców, polegająca na intensyfikacji robót publicznych kosztem zwiększenia długów państwa, nie dała wyników dodatnich. Mają o tem m. i. świadczyć cyfry wykazujące, że z 23 państw objętych statystyką, USA pomimo, a może właśnie wskutek polityki New Deal'u, należały do tych 3-ch, których produkcja jeszcze w 1936 r. była niższa (o 7%) od wytwórczości 1929 roku. Tu przypomnieć należy, że New Deal'owcy twierdzą, że skutki interwencji były niedostateczne ze względu na zbyt słabą interwencję rządu i zbyt małe zwiększanie długu państwowego.

Slichter zaleca jaknajszersze przygotowywanie przez przedsiębiorczość prywatną konkretnych planów na okres powojenny dla zapewnienia pełnego zatrudnienia przy właściwym poziomie płac.

Jest to zadanie olbrzymie, gdyż chodzi o zastąpienie produkcją cywilną około 100 miljardowej wojennej wytwórczości z 1943 r. Plany tego rodzaju, zapoczątkowane już w 1941 roku przez kilku przedsiębiorców, opracowywane są obecnie na wielką skalę w porozumieniu z Department of Commerce przez "Committee for Economic Development", przez "U. S. Chamber of Commerce" w Waszyngtonie oraz oddziały tych instytucji w całem państwie. Plany te wynikają z coraz wyraźniej odczuwanej potrzeby koordynacji pomiędzy produkcją i konsumpcją i mają na celu rozwiązanie tego samego zagadnienia w ramach gospodarki prywatnej, tak jak New Deal'owcy proponują rozwiązać je w drodze państwowej gwarancji zbytu produkcji.

Wśród uczonych tej grupy spotykamy najrozmaitsze poglądy na sprawę granic celowej interwencji państwa Zasługuje na uwagę wygłoszona ostatnio przez prof. R. Bissela krytyka pesymistycznej teorji o "secular stagnation" i teorji o "mature economy". Rozpowszechnione jest zdanie, że współczesny postęp wiedzy i doświadczenia ekspansji wojennej otwierają przedsiębiorczości prywatnej pole dla nieograniczonego rozwoju dobrobytu, przekraczającego największe w historji świata postępy osiągnięte przez ustrój kapitalistyczny w ciągu ostatniego 1½ wieku.

Zagadnienie współmierności demokratycznej formy rządu z systemami polityki ekonomicznej

Niezależnie od przypisywania ustrojom opartym na przedsiębiorczości prywatnej większej sprawności, aniżeli ustrojowi polegającemu na centralistycznie regulowanej produkcji i konsumpcji, liberałowie i umiarkowani interwencjoniści niezbędność utrzymania tego ustroju uzasadniają argumentem, że jedynie on jest zdolny do zachowania swobód demokratycznych.

Prócz często przytaczanego zdania, że w U. S. A. żadne centralistyczne planowanie na dłuższą metę w ramach obecnej konstytucji nie jest możliwe, już chociażby ze względu na zmianę składu Kongresu co dwa lata i na zmienność opinji ciał ustawodawczych pod wpływem najrozmaitszych "pressure groups" wysuwa się dowody, że skupianie prawa kierowania działalnością gospodrczą w rękach biurokracji prowadzi do totalizmu i dyktatury.

Jeden z najpoważniejszych uczonych amerykańskich, prof. Fr. H. Knight w artykule "The War and the Crisis of the Individualism" m. i. wskazuje na Rosję, jako na przekonywujący przykład niemożności pogodzenia systemu gospodarczego, kierowanego przez rząd, z zasadami demokracji politycznej.

Pośredni dowód liczenia się z takimi obawami dał w swem przemówieniu na ostatniem zebraniu "American Economic Association, prof. A. A. Berle Jr., wiceminister Spraw Zagranicznych, gorący zwolennik interwencji państwa celem utrzymania ładu gospodarczego. Dla ochrony ustroju demokratycznego proponuje on powołanie do życia obok istniejących organów władzy prawodawczej, sądowej i wykonawczej, nowej, czwartej kategorji władzy państwowej, któraby w granicach prawa wydawała interwencyjne zarządzenia gospodarcze. (Jest to oczywiście możliwe tylko w drodze zmiany konstytucji amerykańskiej). Stworzenie takiej instytucji miałoby zabezpieczyć USA przed zjawiskami, które w XX wieku zniszczyły przedsiębiorczość prywatną i demokrację na kontynencie Europejskim.

Zwolennicy socjalizmu, nie podzielając tych obaw i wątpliwości, operują znanem twierdzeniem, że właśnie socjalizm zapewnia demokratyzację ustroju gospodarczego, będącą niezbędnem uzupełnieniem demokracji politycznej.

Przewidywania co do powojennego ustroju gospodarczego

Niezależnie od studjów nad tem, jaki ustrój gospodarczy mógłby po wojnie teoretycznie najlepiej utrwalić w ramach ustroju demokratycznego pełne zatrudnienie i wzrost dobrobytu, niektórzy ekonomiści starają się z ewolucji historycznej wywnioskować, jaki będzie ustrój gospodarczy po wojnie. Wobec tego, że nie logika, że nie racjonalność sama decyduje w życiu, lecz zespół mnóstwa czynników najrozmaitszej natury, wartość tych przewidywań jak sami autorzy zwykle zaznaczają, jest względna i mają one głównie znaczenie symptomatyczne.

Najczęściej spotykane jest zdanie, że ustrój gospodarczy powojenny USA nie będzie się zasadniczo różnił od przedwojennego, o ile wojna nie potrwa zbyt długo i nie poderwie obecnie istniejących więzi społecznych w USA.

Głosi to obecnie m. i. prof. J. A. Schumpeter, od dłuższego czasu czynny w USA, w pracy "Capitalism in the Post-War World", gdzie daje krytykę teorji przepowiadających koniec kapitalizmu (vanishing Investment Opportunity) i zarazem zestawia dowody słabości i wad tego ustroju.

J. F. Dewhurst, ekonomista Twentieth Century Fund, jest przekonany, że "American genius will be able to find a middle way between regimentation and pure individualism" i "prevent the driving incentive of the profit system and the advantages of the free choice and free opportunity".

Prof. H. S. Ellis przewiduje, że zakres interwencji państwa po wojnie będzie b. znaczny, ponieważ "governments have definitely accepted welfare economics as basis for policy."

Duża rozbieżność panuje co do "dozy" interwencjonizmu, a raczej dozy robót publicznych i bezpośredniej przedsiębiorczości państwowej, gdyż z trwaniem interwencji w zakresie celnym i podatkowym, zabezpieczenia socjalnego, prawodawstwa anty-monopolowego. interwencji dla zapewnienia taniego pieniądza w okresie depresji, a droższego (w teorji) w przewidywaniu "boomu" i podczas niego, liczą się prawie wszyscy. Natomiast regulacja bezpośrednia cen oraz racjonowanie konsumpcji i wytwórczości powszechnie uważane jest za prawdopodobne jedynie przez krótki czas po wojnie.

Poglądy na powojenną organizację gospodarczą świata

Oczywiście, zasadnicze stanowisko w sprawach polityki gospodarczej wewnętrznej odbija się na poglądach, wypowiadanych o podstawowych zagadnieniach międzynarodowych.

Głosów zalecających politykę izolacjonistyczną nie spotyka się wśród poważnych ekonomistów wcale, natomiast coraz bardziej rozpowszechnia się przekonanie że w zagadnieniach gospodarczych rola USA będzie dominująca i niektórzy już poważnie zastanawiają się, jak dźwignąć "the burden of world leadership which our national power imposes on us".

Jednakże ogłoszone drukiem prace nad organizacją gospodarczą świata mają dotąd charakter szkicowy i ogólnikowy. Obracają się prawie wszystkie ciągle jeszcze w ramach ogłoszonych przed przystąpieniem USA do wojny schematów Condliffa, Corbetta i Lorwina. Ostatni opracował niedawno dla National Resources Planning Board b. cenną rozprawę p. t. "International Economic Development, Public Works and Other Problems", gdzie wykazuje, że podjęcie i ułatwienie finansowania wielkich robót publicznych poza granicami USA leży w interesie gospodarki amerykańskiej i jest konieczne dla utrwalenia pokoju na świecie.

Zwolennicy ustroju prywatno-kapitalistycznego (J. Viner, H. S. Simons, H. S. Ellis i inni) wypowiadają się za jaknajszybszem przywróceniem wolnego handlu międzynarodowego. Wszystkie sztuczne ograniczenia handlu powinny być usunięte, cła zniesione z pozostawieniem tylko na czas przejściowy niektórych w wysokości nie przekraczającej 20% ad valorem.

W argumentacji mającej uzasadnić te postulaty główną rolę odgrywa wykazywanie, że cła ochronne nie mają istotnego znaczenia dla utrzymania "standard of life" w USA, oraz przypomnienie, że ochrona celna w Wielkiej Brytanji została wprowadzona dopiero przed 10-cioma laty. Po wojnie winny być zniesione wszelkie ograniczenia obrotów kapitałów Z chwilą powrotu zaufania do trwałości pokoju i do praworządności w stosunkach międzynarodowych, dopływ prywatnego kapitału inwestycyjnego do krajów opóźnionych w rozwoju będzie dostateczny. Wszyscy uczeni tej grupy uznają konieczność koordynacji międzynarodowej polityki gospodarczej dla akcji antykryzysowej, dla stabilizacji walut, dla inwestycji o znaczeniu międzynarodowem, jednakże projekty organizacji i działania instytucji międzynarodowych, któreby mogły politykę taką przeprowadzać bez bardzo daleko sięgającej interwencji państwowej, nie zostały dotąd gruntownie opracowane.

Tego typu poglądom sprzeciwiają się programy ekonomistów zbliżonych do administracji rządowej, jak np H. Chalmers'a, zalecającego:

1. Stopniowe wznowienie i rozwijanie prywatnego handlu międzynarodowego po zakończeniu okresu "reliefowego" w miarę unormowania stosunków powojennych i w zależności od skoordynowania programów gospodarczych poszczególnych państw.

2. Stopniowe redukowanie ceł na podstawie poszczególnych traktatów handlowych i stopniowe znoszenie ograniczeń w obrotach handlowych i walutowych dla przywrócenia "wolniejszego", a nie wolnego handlu międzynarodowego.

3. Porozumienie międzynarodowe co do stopniowego znoszenia dyskryminacji i powszechnego stosowania klauzuli największego uprzywilejowania w obrotach handlowych.

4. Skoordynowanie normowania handlu międzynarodowego z planami stabilizacji walut i inwestycji międzynarodowych.

5. Zawarcie układów międzynarodowych dla ścisłego sharmonizowania polityki gospodarczej głównych państw w celu zabezpieczenia stanu pełnego zatrudnienia i w celu przeciwdziałania ostrym przesileniom m. i. za pomocą regulowania cen.

Bardzo przejrzyste zestawienie tych zasad polityki gospodarczej, co do których istnieje zgodność poglądów między wszystkimi ekonomistami amerykańskimi, dał na ostatniem zebraniu "American Economic Association" poważny teoretyk, a zarazem wybitny działacz rządowy L. Pasvolsky, szef jednego z wydziałów Department of State.

Panuje jednomyślność co do tego, że w odbudowie gospodarczej świata, której warunkiem zasadniczym jest zabezpieczenie pokoju, Stany Zjednoczone będą odgrywały rolę dominującą. Im lepsze będzie położenie gospodarcze w USA tym szybsza będzie poprawa stosunków gospodarczych na całym świecie.

Niema sporów co do znaczenia rozwoju handlu międzynarodowego dla osiągnięcia "full employment", co do konieczności zniesienia "artificial trade barriers". Wszyscy uznają celowość udzielenia krajom nie dość gospodarczo rozwiniętym, pożyczek niezbędnych dla podniesienia ich sprawności, o ile kraje te same wykażą aktywność. Pomoc miałaby być udzielana początkowo na zasadach lend-lease'u, następnie pod podstacią pożyczek państwowych, wreszcie przez kapitały prywatne (kierujące się względami politycznymi i socjalnymi, a nie wyłącznie dbałością o zysk). Zgoda panuje co do zasady, że stabilizacja walut w skali międzynarodowej jest pożądana i że należy powołać do życia instytucje międzynarodowe dla stabilizacji walut, dla inwestycji, uzgodnienia polityki w zakresie obrotów towarowych, karteli, komunikacji itp.

Streszczenie Pasvolskiego trafnie odźwierciadla niewątpliwie poważne osiągnięcia myśli gospodarczej amerykańskiej ostatniego roku w dziedzinie zagadnień natury ogólnej.

Ustosunkowanie się do konkretnych problematów

Natomiast poszczególne problematy konkretne, jak ustosunkowanie się do Rosji, do Niemiec, zagadnienia federacji państw mniejszych i t. p. wprawdzie niejednokrotnie były tematem rozważań ekonomistów, jednakże znajdują się w fazie początkowej.

Zagadnienie rosyjskie

W nielicznych oświadczeniach ekonomistów do tego tematu, co do którego istnieje jakoby cicha zmowa milczenia, uwydatniają się dwa kierunki:

Jeden optymistycznie przewidujący zrzeczenie się przez Rosję tendencji ekspansjonistycznych i skrajności kolektywizmu, ewentualnie po zaspokojeniu żądań Z. S. S. R. co do jej granic zachodnich.

Łączą się z tem nadzieje, że nastanie na długi czas, jakiś nieokreślony modus vivendi, umożliwiający sharmonizowanie funkcjonowania zasad wolnego handlu międzynarodowego z monopolem handlu ZSSR.

Drugi kierunek nie ma złudzeń i wątpliwości co do tego, że o przyszłości gospodarczej decydować będzie stosunek sił po wojnie.

Jeżeli Rosja będzie potężna i nie będzie chciała współpracy z "kapitalizmem", wówczas niezależnie od komplikacji politycznych, swoboda obrotów międzynarodowych nie będzie możliwa, i regulowanie handlu międzynarodowego będzie musiało pozostać w rękach oddzielnych państw a nie organizacji międzynarodowej. (m. i. H. S. Ellis).

Sprawy federacji

Poza Rosją i Niemcami uwagę ekonomistów głównie przyciągało przyszłe znaczenie gospodarcze Chin, Indji, kontynentu Afrykańskiego, kolonji, zaś z zagadnień bliżej nas dotyczących jedynie projektowane zorganizowanie federacji środkowej i wschodniej Europy.

Ideę federacji rozpatrywano głównie z punktu widzenia politycznego i przeważnie przyjmowano sympatycznie, jako ważny czynnik w konsolidacji stosunków międzynarodowych, przyczem wypowiadano parokrotnie zdanie, że federacja racjonalna powinna być oparta na unji celnej wszystkich państw sfederowanych. (Haberler, Chalmers i inni).

Wnioski

Ze zbadania tego najbardziej uświadomionego odcinka opinji amerykańskiej, nasuwają się wnioski następujące co do poglądów na zagadnienia międzynarodowe:

1. Powszechne jest przeświadczenie o konieczności udziału i o roli decydującej USA w tworzeniu trwałego ładu gospodarczego po wojnie na świecie.

2. Niewątpliwa jest zasadnicza chęć USA ułatwienia i wzmożenia międzynarodowej wymiany towarowej, stabilizacji walut i przyczynienia się do rozwoju gospodarczego krajów nie dość rozwiniętych.

3. Tendencje do udziału USA w stworzeniu organizacji międzynarodowych gospodarczych nadrzędnych przy pewnem ograniczeniu suwerenności poszczególnych państw w dziedzinie gospodarczej są coraz wyraźniejsze.

4. Niema jeszcze miarodajnych planów co do zakresu, sposobów i metod realizacji zamierzeń, wskutek niepewności co do przyszłego ukształtowania się stosunków politycznych i powojennego programu gospodarczego wewnętrznego w USA.

5. Trudności, które może spowodować dla trwałego porządku międzynarodowego sprzeczność między systemem opartym o zasady prywatno-kapitalistyczne (nawet ze znaczną miarą ingerencji państwowej) a systemem komunistycznym w Z. S. S. R. nie są dotąd przedmiotem głębszej analizy publicznej.

6. W ciągu roku ostatniego opracowanie planów gospodarczych powojennych postąpiło znacznie zarówno wśród fachowych doradców rządu jak też w najważniejszych organizacjach społecznych w U. S. A.

Prace te rozwijają się szybko i poza problematami ogólnymi zaczynają obecnie obejmować zagadnienia dotyczące przyszłości gospodarczej Niemiec, roli Rosji, celowości federacji europejskich i inne b. dla Polski doniosłe sprawy.

W POPRZEDNIM (40) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Józef Wittlin: List do kongresu pisarzy z Kalifornji; Kazimierz Wierzyński: Sonet wojenny; Mieczysław Pruszyński: Królowa nowoczesnych bitew: mina; Zygmunt Karpiński: Na marginesie broszury "Fortune"; Milczący traktat; Henryk A. Spitzman: Walka a naftę; Polski oficer w brytyjskim mundurze (Rozmowa z przybyszem z kraju ludożerców); Marta Wankowiczówna: W Haverford College; Opinje i zdarzenia

LEON ORŁOWSKI

CO NAJPILNIEJSZE?

Zamieszczając uwagi p Leona Orłowskiego, b. posła R. P. w Budapeszcie, tem samem otwieramy wśród naszych czytelników ankietę na temat: "JAKIE URZĄDZENIA I REFORMY WEDŁUG MOJEGO MNIEMANIA NALEŻAŁOBY NAJRYCHLEJ WPROWADZIĆ W WYZWOLONEJ POLSCE."

Naszych czytelników prosimy uprzejmie o przesyłanie swoich opinji, ujętych w formie artykuliku objętości 3-4 stron maszynowego pisma. Pragniemy publikować odtąd jedną do dwóch opinji w każdym numerze "Tygodnika Polskiego".

Redakcja zastrzega sobie prawo odrzucenia nadesłanej opinji.

* * *

Obyczaje polityczne w Polsce, w okresie między pierwszą a drugą wojną światową przedstawiały obraz wyraźnego upadku. Może nie wszyscy zgodzimy się z tem tak daleko idącem twierdzeniem, w każdym razie wydaje się, że ogólnie był u nas podzielony pogląd, iż pozostawiały one wiele do życzenia.

Jeżeli ludzie są wogóle zdolni wyciągnąć jakiekolwiek nauki z historji, to uczy ona, że najlepiej pomyślany ustrój nie może się ostać, kiedy obywatele nie znajdują w "mores" hamulca w namiętnościach a podniety do wzniosłych porywów. Wspaniałym pomnikiem tej prawdy jest stary Plutarch. Jakże dużo daje do myślenia fakt, że w Anglji, gdzie ustrój polityczny jest tak różny od sztucznie, przy biurku wypracowanych ideałów perfekcjonistów, — "Żywoty" zwyczajowo stanowią obowiązującą lekturę dla dorastającej młodzieży, która szykuje się do przewodzenia swym ziomkom.

Dobre obyczaje polityczne są najcenniejszem żniwem wychowania społeczeństwa. To nie zdaje się wymagać żadnego dowodu, tak jak nie wymaga dowodu teza, że wychowanie jest skolei wynikiem dobrych praw, niezbyt dużo regulujących ale zato surowo przestrzeganych. Najlepsze prawa, nie przestrzegane są jedynie źródłem dalszej demoralizacji. Jeżeli tedy pragniemy szybszego polepszenia naszych obyczajów w życiu politycznem, to już teraz winniśmy zastanawiać się nad naprawą niektórych ustaw, by od początku, zaraz po wygnaniu Niemców, rozpoczęły one wpływać na wychowanie społeczeństwa. W naszej sytuacji winniśmy pamiętać o przysłowiu polskiem: "nim słońce wzejdzie, oczy rosa wyje". Nie możemy odkładać tej sprawy do czasu kiedy różne komisje składające się nawet z najlepszych głów, skończą prace nad nowemi prawami lub nowemi programami szkolnemi. Takie fundamentalne prace powinny być, rzecz oczywista, najprędzej zaczęte, lecz zdaniem mojem, nie możemy sobie pozwolić na luksus oczekiwania na ich wyniki. Jedynym sposobem szybkiego poprawienia zwyczajów i obyczajów jest przeprowadzenie natychmiast po uzyskaniu wolności paru, naprawdę niewielu, ustaw możliwie krótkich i jasnych.

Niewątpliwie będą między nami różnice poglądów co do wagi takiej czy innej reformy prawnej i co do kolejności tych reform. Byłoby wielce interesującem, gdyby czytelnicy "Tygodnika Polskiego" chcieli wypowiedzieć się w tym względzie. Co do mnie, to wydaje mi się, że najważniejszemi bolączkami naszego życia politycznego są niemal bezkarność kalumnji, demoralizowanie obywateli przez państwo, szczególnie przy stosowaniu ustawy podatkowej, brak odwagi cywilnej i wkońcu, może mała rzecz na pierwszy rzut oka, lecz zdaniem mojem, sięgająca bardzo głęboko— marnotrawienie czasu wskutek źle zorganizowanego dnia, do czego wielce przyczynia się skłonność do zarywania nocy.

Dlatego też sądzę, że najpilniejszemi są cztery reformy (oczywiście najpilniejszemi z punktu widzenia wychowawczego). Skuteczność ich zależeć będzie od krótkości i stanowczości procedury sądowej.

Nie bolączką, a śmiem powiedzieć, przekleństwem życia politycznego w Polsce jest nasza skłonność do traktowania spraw politycznych z punktu widzenia personalnego, a nie rzeczowego. Stąd też nie dyskusja, a inwektywa jest najczęstszą bronią. Szczególnie godzi się nią w tych co mają rację, gdyż inaczej nie można ich "utrącać". "Przekonanie" oszczercy wydaje się być wystarczającem udowodnieniem.

Czyż nie znamy wpadków, że oszczerca idzie najspokojniej na wódkę ze swą ofiarą, gdyż "sytuacja uległa zmianie" i rzekomy defraudant lub agent niemiecki ma, lub może mieć wpływ na bieg spraw, a szczególnie na personalja? Rzadko dochodzi do sądów obywatelskich lub komisji dyscyplinarnych a jeżeli dochodzi, to wyrok sprowadzi się do oświadczenia, że zarzuty są bezpodstawne. A gdzie kara, która powinna być równą bez mała karze za usiłowanie zabójstwa? Bezkarność w tych wypadkach jest krzyczącem dowodem upadku obyczajów publicznych. Dlatego też pierwszą wogóle reformą prawa powinno być przeprowadzenie krótkiej ustawy o oszczerstwie na wzór jurysprudencji angielskiej i amerykańskiej.

W naszych warunkach sprawa o oszczerstwo powinna mieć pierwszeństwo w sądzie przed jakąkolwiek inną sprawą, procedura winna być uproszczoną a kara—nie kpiną z cudzego dobrego imienia w postaci "symbolicznego złotego". Oszczerca powinien płacić w zależności od stanu majątkowego. Wiemy, że w Ameryce za to samo oszczerstwo, w tym samym sądzie, jeden zapłaci 100 dolarów, a drugi 100,000.

Zródłem nieustannej demoralizacji społeczeństwa jest zasada naszego ustawodawstwa podatkowego, że zeznania obywatela o jego dochodzie nie jest obowiązujące dla urzędu skarbowego. Jest to proklamowanie przez państwo poniżającego założenia, że większość lub choćby tylko część obywateli to oszuści. Nawet gdyby przypuszczenie takie było słuszne — to zasada ta jest tak demoralizującą, dającą takie pole do nadużyć, że przoduje rozgoryczenie przeciw rządowi uczciwej części społeczeństwa (oczywiście nie oszustów), która normalnie powinna być podporą władzy państwowej. W tej sprawie nie możemy, nie mamy prawa czekać na wypracowanie szerokich reform podatkowych, niewątpliwie potrzebnych. Wydaje mi się nieodzownem natychmiastowe przeprowadzenie zasady, że zeznanie podatnika jest obowiązującem dla urzędu skarbowego, z tem jednak, że oszustwo udowodnione winno być karane surowo.

Bez poszanowania prawa niema trwałego ustroju, niema trwałego państwa. Dlatego też zbawieniem byłoby dalej, uproszczenie i potanienie do minimum procedury w Trybunale Administracyjnym. W wytoczeniu sprawy rządowi wszyscy, łącznie z urzędnikami, powinni upatrywać spełnienie obowiązku obywatelskiego a nie czynu niepatrjotycznego, opozycyjnego, antyrządowego. Sąd — to jedyny sposób zabezpieczenia obywatelowi wolności, należnej mu z tytułu takiego czy innego nastroju. Niema innego sposobu na tyranję — za wyjątkiem rewolucji.

By przywrócić równowagę pomiędzy serwilizmem, a odwagą cywilną, społeczeństwo powinno wyłonić coś w rodzaju Ligi Obrony Praw Obywatela, by w wypadkach zasadniczych, w których wyrok sądu będzie mieć skutki o szerokim zasięgu, — przyjść obywatelowi z pomocą prawną, w sprawach grożących kosztami i wymagających pierwszorzędnych sił adwokackich. Rządowi patrzącemu w przyszłość, a tylko taki jest dobry, powinno chodzić nietylko o to, by utrzymać się przy władzy lecz nadewszystko o to, by władza utrzymała się w państwie. Dlatego też tego rodzaju akcja społeczna nie tylko nie powinna być traktowaną jako opozycyjna, lecz powinna spotkać się z czynną pomocą rządu, jeżeliby zaszła tego potrzeba. Pogląd, że organizowanie obywateli dla obrony ich praw, czyli obrony wolności, w ramach obowiązujących ustaw, jest akcją opozycyjną i niepatrjotyczną, jest już tem samem dowodem upadku, gdyż godzi w najbardziej cenną cnotę obywatelską — w odwagę cywilną.

W końcu mam na myśli reformę, na pierwszy rzut oka trywjalną lecz mającą w mojem zrozumieniu wielkie znaczenie wychowawcze. Naprawienie "mores" przez prohibicję jest oczywiście bez sensu. Pamiętamy bowiem, jak pomimo zakazu sprzedaży wódki w sobotę po południu i w niedzielę, nawet ustawodawcy pili ją w Hotelu Europejskim z filiżanek do kawy. Natomiast skutecznem będzie pójście w ślady Europy Zachodniej i zaprowadzenie t. zw. godziny policyjnej dla restauracji i lokali nocnych. Najbardziej nawet potrzebujący rozrywek będą mieli dosyć czasu do zabawienia się do 1-szej lub też 2-ej w nocy. Wykonanie tego zarządzenia będzie łatwe, a ileż sił i zdrowia zaoszczędzi ono, o ileż mniej defraudacji w bankach, urzędach skarbowych i kasach chorych, jeżeli lokale będą zamykać o 2-ej w nocy zamiast o 7-ej rano. Pamiętam, że reformę tę, łatwą, bo wymagającą jedynie zarządzenia policyjnego, proponowałem dwu skolei ministrom ostatniego rządu. W obu wypadkach otrzymałem odpowiedź, że rzecz jest sama w sobie słuszna ale nie zgodzi się na podobną inicjatywę minister skarbu, ponieważ wódka daje poważne dochody, a takie zarządzenie zmniejszyłoby jej konsumcję.

STEFAN WŁOSZCZEWSKI

JAK POLACY CYWILIZUJĄ INDJAN?

Któregoś wieczoru w Southampton na Long Island zaproponowano mi wycieczkę do rezerwatu Indjan.

Wszystko jedno, czy są to prawdziwi Indjanie czy też tylko ich potomkowie pomieszani z murzynami, dość że stanowią zupełnie osobną grupę, której wydzielono 800 akrów ziemi i która rządzi się zupełnie autonomicznie.

Kilkadziesiąt rodzin czerwono-skórych (dziś już bardziej "czarnych" niż "czerwonych") żyje więc w centrum jednego z najrozkoszniejszych miasteczek amerykańskich nad brzegiem oceanu ale jakby za niedostępną kratą.

Nie są to wszakże kraty w dosłownem tego słowa znaczeniu. Zastępują je wysokie żywopłoty, za którym ciągną się dziewicze gąszcze jakichś strasznie skołtunionych krzaków i drzew wysokości jeźdźca, niemożliwe do przebycia.

Wąskie polne drogi przebijają się przez puszcze. Przy nich, to tu, to tam porozrzucane liche domki, usiłujące architekturą swoją dorównać stylowi kolonjalnemu, brudne i obszarpane. Mieszkają w nich Indjanie a za dowód służyć mogą zbudowane przed domostwem "wigwamy", może na pamiątkę, więcej dla byznesu, ale to nie należy do tematu niniejszej korespondencji.

Leniwi, obdarci, wiecznie pykający tradycyjną fajkę, mieszkańcy tego rezerwatu gardzą pracą, a cóż dopiero uprawą ziemi. Stała więc tak ziemia-rodzicielka od niepamiętnych czasów, od epoki lodowców, od początków świata, aż zarosła gąszczą tak gęstą, tak skłębioną i tak tajemniczą, jak legendarna dżungla.

Kto wie, jak długo trwałyby te stosunki, gdyby na Long Island nie przybyli Polacy. Przybysze mieli jeszcze dość ziemi na tym północnym skrawku "Długiej Wyspy", ale ich synowie, o których, nawiasem mówiąc, utrzymywali, że są tak dobrymi farmerami, jak inni zdezerterują z ziemi, co okazało się fałszywą hypotezą — już odczuli "głód ziemi".

A tu pod bokiem — tyle nietkniętej jeszcze pługiem dziewiczego gruntu! Coprawda, pokrywa go nieprzebyta puszcza ale od czegoż siła w ręku, odwaga w sercu i "smykałka" w głowie!

Długo się ciągnęły układy z Indjanami. Czerwonoskórzy mieszkańcy rezerwatu okazali więcej niż przebiegłość byznesową, skoro wydzierżawili wreszcie Polakom dziewicze gąszcze po 15 dolarów za akr rocznie w dwóch pierwszych latach i po 30 dolarów w latach następnych. To już jest dobra cena, bo przecież trzeba karczować...

Właśnie tego wieczoru drugi z kolei syn państwa Wacławowa Stacheckich wybierał się na tako pionierską robotę. Przez cały dzień pracował na farmie rodzicielskiej, gdzie ma zapewnioną pracę przez cały rok. Dopiero pod wieczór może gospodarować na własnej farmie.

Nie ma jej jeszcze. Młode małżeństwo ma tylko dom ze zwykłym dywanem trawnym przed gankiem i kawałkiem warzywnego ogrodu. Ale "staż" u ojca ma się ku końcowi, tak jak to było ze starszym bratem, tak jak z kolei będzie z młodszym, gdy podrośnie.

Najstarszy syn, Stanisław Stachecki, już gospodaruje od kilku lat na swojem. Ma też tylko posiadłość w centrum miasta, dom mieszkalny, zabudowania farmerskie, traktor, trzy ciężarówki i komplet maszyn. Ziemi dostarcza mu rezerwat indjański. On to pierwszy zapoczątkował karczowanie dzikich gąszczów, on pierwszy dogadał się z Indjanami i wypalił ze starszyzną fajkę pokoju. Dziś dzierżawi już sto akrów dobrze wyrobionej ziemi, na której równemi grządkami zielenią się, jak okiem sięgnąć, kartofle i kalafiory.

Teraz kolej na Czesława... Pełen życia, werwy, w oczach wesołe błyski! Wita się krzepko, potrząsa mocno dłonią i zaraz dobry, życzliwy uśmiech rozjaśnia mu oblicze...

— Czy chcę jechać, zobaczyć? Ależ naturalnie!...

To nic, że się ściemnia, że już świerszcze grają, że dzień pracy znojnej już się zakończył. Uciecha serce drga Czesława, to pierwsze jego zwycięstwo na własnej ziemi misterjum inicjacji.

Siadamy na olbrzymi traktor, na traktor-mastodont największych rozmiarów, wsparty o stalowe koła, zakończone potężnemi łapkami. Niema żartów! Trzymajmy się mocno w siodle, bo przecież czekają nas dziwne wstrząsy.

Pozwalają mi prowadzić traktor. Wjeżdżam w głąb gęstwiny! Jakieś drzewo łamie się z trzaskiem pod naporem tanku, chciałem powiedzieć — traktora, jakieś olbrzymie gałęzie biją po twarzy: puszcza złowrogo huczy dokoła, jęczy, zawodzi skowytem, ale gnie się i ustępuje przed żelazną wolą człowieka. W pewnej chwili potężny wstrząs podrzuca jak piłką trzytonową maszyną. To jakiś skołtuniony dębczak pokaźnych już rozmiarów stawia rozpaczliwie czoło nawale. Zostaje zdruzgotany na miazgę, ale przedtem zemścił się na traktorze, pogiąwszy grube i ciężkie błotniki. Trzeba będzie reperować...

Traktor wlecze za sobą ciężkie siekacze, które tną i miażdżą to, co zostało złamane i obalone. Po takiem straszliwem najeździe zostaje puszcza. Ale nie wszystko. Wypali się skorzo a reszty zniszczenia dokona pożar. Pod zimę pionierzy nasi, starannie oborawszy zagon, zapalą "cmentarzysko" i dopiero potem puszczą pługi.

Za pługiem, po bruzdach pójdą ludzie, dużo ludzi, ażeby wybrać korzenie i niedopalone głownie. I dopiero po takim trudzie ludzi i maszyn można zacząć obróbkę ziemi.

Komużby to się chciało? Któż by się na to zdobył? Kto zaryzykuje traktory i pługi, pożary i znój?

Młodzi Stacheccy poważyli się bez długich wahań, acz nie bez namysłu. Dziś przykładem swym działają na rozleniwioną ludność rezerwatu. Dziś cywilizują Indjan tak jak onegdaj to robili inni przybysze z Polski w 17-tym wieku: Zaborowscy (Zabriskie) i Sadowscy (Sanduski).

NUMER WARSZAWSKI
"TYGODNIKA POLSKIEGO"
ukaże się
W NASTĘPNYM TYGODNIU.
Opóźnienie numeru nastąpiło z przyczyn od nas niezależnych, na skutek późnego nadejścia materjału literackiego i ilustracyjnego z Anglji.

ZYGMUNT ST. KLINGSLAND

CZERMAŃSKI

Chodzenie na Czermańskiego wystawy— niestety, zbyt rzadko urządzane! —należało zawsze do wielkich przyjemności o bardzo swoistym, wręcz jedynym posmaku estetycznym, za każdym razem bowiem oglądało się dzieła zupełnie nowe a przecież, jak dobrze znane. Dopatrywać się w nich można było rozmaitych zalet i wartości. Są to dokumenty ikonograficzne, jak najautentyczniejsze w sensie ich prawdy dziejowej, ponieważ Czermański, posiadający fenomenalny zmysł obserwacyjny, umie — z nieomylną trafnością — wybierać wśród mnóstwa szczegółów rzeczywistości te jej nieliczne formy i odrębne znamiona, które istotnie są plastycznem wyrazem fizycznej i moralnej indywidualności modela. Są to, równocześnie, zadziwiająco podobne portrety, które wszakże od normalnych reguł i cech tego działu sztuki jaknajdalej odbiegają, ponieważ Czermański patrzy na swoje modele — bez względu na to czy to są ludzie czy też domy, czy to jest postać Piłsudskiego czy też ulica paryska — wzrokiem artysty, obdarzonego wyobraźnią liryka a temperamentem karykaturzysty. Są to przeważnie kolorowe rysunki o mocno zaakcentowanych konturach graficznych i o bogatej skali delikatnie zróżniczkowanych barw, przyczem Czermański posługuje się techniką pozornie bardzo prostą, czasem jak gdyby nawet niedbałą, faktycznie zaś będącą wynikiem wnikliwych, sumiennych i głęboko przemyślanych poszukiwań "własnego" stylu, poszukiwań jakże owocnych! Wszystkie plansze Czermańskiego z tej epoki odznaczają się jeszcze jedną, bardzo cenną wartością ogólnego charakteru: mają treść wewnętrzną tak samo czytelną, jak przejrzystą jest ich forma plastyczna — to, co Czermański odczuł i przeżył, potrafi on zawsze doskonale wyrazić. Bez niedomówień ani omówień. I bez doktrynerskich łamańców estetycznych.

Odwołanie się do wczorajszego Czermańskiego było konieczne, aby wytłomaczyć, jak dalece inną jest dzisiejsza jego sztuka Ewolucje, zachodzące w twórczości rozmaitych artystów, nie są bynajmniej zjawiskiem wyjątkowym, jest to wszakże proces powolnego przeobrażania się, o którego poszczególnych stadjach świadczą dzieła z tak zwanego "przejściowego okresu", będące mieszaniną starego i nowego stylu. Ale tu ma się do czynienia z taką zmianą, która zakrojona jest na miarę bezkompromisowego przewrotu rewolucyjnego — artystyczny gest Czermańskiego oznacza wzięcie absolutnego rozbratu z poprzedniemi założeniami twórczymi, zewnętrzną formą wyrażania się i wszystkimi jej odpowiednikami technicznymi. Jest coś bardzo imponującego w tym geście Czermańskiego, radykalnie zrywającego z całą swoją przeszłością artystyczną — z dotychczasowym stosunkiem do rzeczywistości, z analityczną metodą obserwowania życia, z wypowiadaniem się rysunkami kolorowymi. Odrzuca on treść i formę swojej sztuki, nawskroś oryginalnej i już na poziomie indywidualnej doskonałości będącej, by raz jeszcze pójść na poszukiwanie nowych prawd artystycznych.

Twórczość Czermańskiego posiada cechę tak czytelnej szczerości, że można pokusić się o znalezienie w jego własnych dziełach obecnych odpowiedzi na pytanie: jakie były kategoryczne nakazy wewnętrzne, które skłoniły go do pójścia zupełnie nową drogą twórczości artystycznej? Wojna dzisiejsza — z brutalnym realizmem jej nieprawdopodobnych okropności, z bezimiennem bohaterstwem jej niewinnych ofiar, z patosem jej najwznioślejszych porywów i z cynizmem jej najniższych podłostek — wojna najbardziej totalna, najbardziej udoskonalona i najbardziej zezwierzęcona — wojna istotnie wszechświatowa i wszechludzka musiała, od tej właśnie strony widziana, owładnąć wyobraźnią twórczą Czermańskiego, który ją w ciągu swojej tułaczej wędrówki po Europie, fragmentami przeżywał osobiście. Czasy karykatur, będących znakomitym koktajlem kawiarnianych plotek, umyślnych niedyskrecji, telefonicznych sensacji, przyjacielskich złośliwości; czasy wesołych przekpiwań dowcipnych nawet z najdroższych i najbardziej bliskich sercu w redagowanym przez Lechonia "Cyruliku", który i z Belwederu pośmiać się nie bał, dając serję satyrycznych portretów Marszałka. tem zabawniejszych, że arcy podobnych — te czasy zatarła wojna w pamięci artystycznej Czermańskiego. Zatarła ona również i czasy twórczego włóczenia się po Paryżu — nawet dla rzeczywiście rdzennych paryżan były później rewelacją te rysunki kolorowe, w których streścił Czermański swoje wrażenia z tej włóczęgi, okazało się bowiem, że podpatrzone i zanotowane przez niego szczegóły — jak naprz. wejście do kolejki podziemnej czy szyld sklepu tabacznego — są tak drobne i niepozorne, że prawie niedostrzegalne a jednak tak charakterystyczne, że stanowią one zasadniczy pierwiastek składowy krajobrazu paryskiego.

Ten właśnie cały swój dorobek artystyczny, ilościowo i jakościowo przebogaty, odrzucił Czermański, biorąc rozbrat z przekpiwaniem, podpatrywaniem i rysowaniem życia. Zobaczył tragedję wojny, przyjrzał się jej głównym aktorom — dokonał się rewolucyjny przewrót w jego wyobraźni twórczej, która zaczęła pracować wizjami już nie analitycznemi, jak poprzednio ale wybitnie syntetycznemi. Inna zupełnie rzeczywistość narzuca Czermańskiemu, jako artystyczną konieczność, inne do niej ustosunkowanie się, co zmusza go do znalezienia innych rozwiązań formy a przeto innych również możliwości technicznych.

Jeżeli tu i ówdzie — jak nprz w przezabawnym "Der Fuehrer in Brussel" lub arcy-komicznym "Hermann und Dorothea" — zaskrzy się i dziś jeszcze dawny humor Czermańskiego, to reszta kompozycji uderza dojmującą ostrością satyry, będącej pręgierzem dla każdego "Infamous'a". Napiętnowanie takie jest tem wyraźniej bezpośrednie, a przeto i tym bardziej hańbiące, że Hitler, Mussolini, Petain czy Laval są zawsze nietylko w okrutny sposób ośmieszeni, ale i uderzająco podobni.

Niemniej zadziwiające i szczerego uznania godne są wyniki, osiągnięte przez Czermańskiego w zakresie poszukiwań nowej formy plastycznej, poszukiwań, przeprowadzonych — podkreślić to należy — niezwykle sumiennie, wytrwale i co najważniejsze, trafnie. I pod tym względem przewrót dokonany jest nawskroś rewolucyjny: Czermański — znakomity rysownik — ustępuje miejsca Czermańskiemu — wspaniałemu malarzowi. Nie oznacza ta bynajmniej, że Czermański nagle przestał wierzyć w doniosłą wartość linji jako niezbędnego składnika kompozycyjnego lub że stracił zamiłowanie do ujmowania swoich tematów w karby mocnych wiązań rysunkowych. Petain na tle portretów Hannibala, Bismarcka, Fryderyka Wielkiego i Katarzyny II lub 14-ty Lipca świętowany na tarasie kawiarni Vichy — to są prawdziwe majstersztyki rysunku! Tak, ale przedewszystkiem są to świetne utwory malarskie, których najcharakterystyczniejszymi składnikami kompozycyjnymi są tym razem barwa i światło. Jak w poprzednich dziełach Czermańskiego każda najdrobniejsza nawet kreska ma swój kształt i swój rytm, podporządkowane doskonale zorkiestrowanej całości graficznej, tak obecnie każda, choćby najmniejsza plama kolorowa i równocześnie świetlna, jest umieszczona z wprost matematyczną ścisłością, będąc koniecznym tonem w pięknej symfonji malarskiej dzisiejszej sztuki Czermańskiego. Podkreślić jeszcze należy wielce mądrą oszczędność, z jaką Czermański posługuje się tymi efektami czysto malarskimi — oszczędność, właściwą artystom miary Daumier'a lub Guys'a. U. Czermańskiego oszczędność ta polega czasem na wprowadzeniu do kompozycji jednej zasadniczej tylko plamy barwnej, ale zasadniczej jak np. czerwień w planszy "Franco the Victor", a czasem na sprowadzeniu całości do jednego wspólnego mianownika kolorowego o delikatnie zróżniczkowanej tonacji, jak nprz. w "The Chinese Wall". Ale zawsze jest to sztuka wybitnie malarska i przedewszystkiem malarska — to właśnie stanowi dominującą cechę całej twórczości dzisiejszej Czermańskiego.

Na ścianach sali obrad przyszłej konferencji światowej umieszczone być powinny, jako najwymowniejszy akt oskarżenia, portrety "Infamous'ów", namalowane przez Czermańskiego — powinni uważnie im przypatrzyć się delegaci, którzy ustalać będą warunki pokoju i ferować wyroki na istotnych sprawców obecnej wojny.

LUDWIKA CIECHANOWIECKA

WYCINANKI AMERYKAŃSKIE

Wspaniałym tematem do typowej amerykańskiej story byłaby metamorfoza Ameryki z rozpieszczonej "glamour girl" w dziewczynę w mundurze WACS i jej chłopca, odkarmionego, rosłego footbalisty w groźnego wojownika, który poluje na "Dżapsów" w dżunglach Nowej Gwinei i w skalnych kryjówkach Alaski.

Ameryka tylko na oko dla naiwnego przybysza z Europy jest zawsze tym samym kamiennym światem drapaczy nieba z powieści i filmu, zamieszkałym przez znudzonych miljonerów, ekscentyczne Grety Garbo i chicagoskich gangsterów. W rzeczywistości Ameryka jest dzisiaj dopiero Nowym Światem ludzi przebudzonych z letargu.

Jest niedziela bez dzwonów (które ongiś budziły nas w innem mieście srebrną muzyką). Niedziela w drugim roku wojny w New Yorku jest jeszcze cichsza niż kilka miesięcy temu, bo ojciec Ickes tak skąpo wydziela benzynę, że się liczba samochodów zmniejszyła do zera. Jużby korespondentka Kurjera Porannego, Musiałówna, nie pisała o djabelskiem tempie taksówek i autobusów. Do 1-go września w niedzielę autobusy próżnowały w garażach, bo je mayor La Guardia skazał na bezczynność. Taksówek jest tak niewiele, że ja nawet śmiało przechodzę przez ulicę przy czerwonem świetle, a strzyżone pudle załatwiają się na środku jezdni.

Właśnie co niedziela słychać o 1-ej głos rubaszny, ojcowski Fiorella. Przemawia do nowojorczan, jak do własnych dzieci; karci, upomina, złości się na graczy, na zwolenników totka i ruletki, pomstuje na paskarzy, mówi że są "świnie" poprostu świnie, przeprasza, że tak brzydko się wyraża, ale "gdyby była mowa o różach tobyście dopiero zobaczyli, jakich poetyckich porównań bym używał", ale co innego róża, a co innego paskarz wojenny... Krzyczy na gospodynie, że się dają nabijać w butelkę, poucza jakie kartki będą ważne, martwi się, że nie dość mięsa sprowadził na niedzielę, ale to też będzie załatwione, wreszcie przestrzega przed zbytnim optymizmem tych, co sądzą, że Nowy Jork już skończył z próbnymi alarmami. Nic to żeśmy u bram fortecy europejskiej, nic to że stare miasta włoskie drżą w posadach od ognia artyleryjskich dział Clarke'a i Montgomery'ego, że wódz Luftwaffe pan Goering żonę na wszelki wypadek do schronu skalnego w Szwajcarji wyekspedjował — "będziecie jeszcze mieć alarm i to niebawem i to z szykanami". Żeby z wprawy nie wychodzić, wardeny w rondlach białych na głowach i wardenki w "slacksach" obciążone skrzynkami z pierwszą pomocą, utrzymać w nastroju ostrego pogotowia.

Teraz te fałszywe alarmy odbywają się jak za pociśnięciem czarodziejskiego guzika. Wardeny wyskakują jak z pudełka, nikt już nie boi się przekręcać kontaktów na ulicach i gasić latarń. Już żadna czujka nie potrzebuje gwizdaniem przywoływać niesfornych lokatorów do porządku. Miasto zamienia się w jednej chwili w ciemną, cichą wieś z kamienia. Stukają kroki wardenów jak późną nocą w Pikutkowie. Czasem migną w mrocznych szklanych wystawach czerwone światła policyjnych aut i ambulansów, niby telegraficzny sygnał morsa biegnący kolorowym szlakiem po błyszczącej powierzchni. Syrena wyciąga wysokie "A" uparcie a falując jak Kiepura (właśnie Kiepurę do syreny przyrównał murzyński dyrygent Duke Eylington, podczas radiowej audycji).

A jak to bywało przedtem?

Mam przed sobą wielką księgę z napisem na okładce "War Clippings Scrap Book". Kupiłam ją za 10 centów u Woolwortha, a potem pracowicie wklejałam wycinki z gazet, no i mam dzisiaj historję wojny amerykańskiej w kilkuset obrazkach od pamiętnych dni grudniowych 1941 roku. Skrawki depesz, artykuły, karykatury, fotografje opowiadają o fantastycznej przemianie.

Dzisiaj, kiedy potężna machina amerykańska przestawiona na relsy, wiodące naprzełaj przez wszystkie fronty świata ku zwycięstwu — ruszyła z miejsca i coraz większego nabiera rozpędu, można bez obrazy dla Wuja Sama przypomnieć sobie tragikomiczny bałagan, pierwszych dni wojny z Japonją.

Ale bo też bomby, co padły na Hawaje w niedzielę 7-go grudnia o pierwszej mi nut pięć po południu, ogłuszyły tych wszystkich którzy wierzyli, że Ameryka nigdy.. że Ameryka siedzieć będzie jak u Pana Boga za piecem, za barjerą z oceanu.

W poniedziałek 8-go spotkałam w windzie kilka znajomych pań, ajryszek i prawnuczek purytanów, które prowadziły ożywioną dyskusję na temat wojny wogóle.

— Thats none of our business — zaperzyła się jedna z nich, gdy zauważyłam, że Ameryka przecież wojny nie uniknie.

— Nigdy — never — niech się Europa ugotuje we własnym sosie. Nie poto moi przodkowie uciekli aż za morze, żeby budować nową ojczyznę...

Tegoż dnia na Manilę padły pierwsze bomby, a we wtorek moje panie tak się trzęsły ze zdenerwowania z powodu pomyłkowego zresztą alarmu, ogłoszonego jeszcze tylko przez syrenki i dzwonki pożarowe, że wieczorem poszły spać w trykotach wełnianych z pularesami za pazuchą.

Mayor La Guardia fruwał wtedy z miasta do miasta, na wyścigi z panią Eleonorą, organizując cywilną ochronę, ale zdawało się, że żyjemy w fabryce z chaplinowskiego filmu. Ktoś przekręcił jedną śrubkę i cała fabryka zrobiła na chwilę stop. Wydawało się nawet, że zorganizowanie obrony w New Jorku natrafia na nieprzezwyciężone przeszkody. Właśnie w tem mieście Sezamie, gdzie jest wszystko o czem dusza zamarzy, ale gdzie produkcja była nastawiona na pokój, a nie na wojnę, pierwsze kroki wardenów były niezdarne jak kroki ślepej babki.

Jeszcze w sklepach piętrzyły się pończochy z nylonów, japońskie jedwabie, celofanowe kwiaty i platynowa biżuterja, ale sam Rockefeller nie dostałby za żadną cenę autentycznego hełmu, ani latarki z niebieską żarówką, ani czarnej story do okna. Po Broadwayu maszerował warden w opasce z brudnej chustki do nosa. Mieszkania z oknami bez zasłon zamieniały się w czarne jamy, w których włażono sobie na nosy, albo wykręcano nogi na schodach. A syreny? Skąd wziąć tak od razu, z miejsca syrenę, która zdoła przekrzyczeć największe miasto na świecie, szumiące jak ocean.

Co to była za uciecha z temi nieudanemi próbami, gdy po wielu zapowiedziach tysiączne tłumy krotochwilnych jankesów, zebrane na Times Square, próżno nadstawiały ucha i zostały uwiecznione na fotografii w mojej scrap book z podpisem "Where is that whistle?" (Gdzież jest ta świstawka) zaś mayor La Guardia doczekał się karykatury, na której siedzi jak niegrzeczny Dyzio na progu domu i beczy: "Nikt mnie nie lubi — beee".

W pamiątkowym albumie wycinków został również uwieczniony ostatni obraz jasnego wieczoru, gdy Nowy Jork przypominał jeszcze mrowisko z iskrzącego się kwarcu, pod niebem płonącem łuną ogłoszeń.

I potem—nie nagle, ale stopniowo, konsekwentnie, a przecież jakgdyby od niechcenia zaczęło się zmieniać oblicze Ameryki. Luksusowy transatlantyk przeobraża się powoli w ołowiano szary, opancerzony, najeżony armatami okręt wojenny.

W dwa pierwsze dni po ataku na Pearl Harbor zgłosiło się w samym Nowym Jorku 50,000 wardenów. W osiem dni — przeszło 12 tysięcy ochotników marynarzy. Co 42 sekundy zgłaszał się do wojska jeden Amerykański "boy". W City College Hall gdzie dawniej zbierali się pacyfiści — studenci domagali się wprowadzenia na uniwersytetach kursów przysposobienia wojennego.

Jeszcze Christmas ówczesne czarowało wystawami na Piątej Avenue, jakby żegnało miniony niepowrotnie dzień wczorajszy, jeszcze tłumy podziwiały korowody manekinów w ogoniastych sukniach podtrzymywanych palcami a la damy z portretów Styki. Rumiany Św. Mikołaj w tradycyjnym pochodzie firmy Macy, wielki jak balon zaporowy, zapadł się nagle, klapnął i siadł bezwładnie na jezdnię, budząc popłoch wśród dzieci. Uznano to za "zły omen", zwiastujący serję ciemnych dni. Już u Sterna flirtująca para na wystawie zachęcała do kupna US Defense Bonds. Na dachach drapaczy nieba ustawiano działa przeciwlotnicze. Na dworcach Grand Central i Pennsylwanja dziewczęta żegnały zmobilizowanych chłopców. Dnia 31 grudnia David Groveman w liście do Editora błagał by nie urządzać tradycyjnego wesołego obchodu na Times Square, bo on David G. ma fatalne przeczucie i bardzo się boi nalotu, ale w Daily News następnego dnia, wśród fotosow szalejących sylwestrowiczów, umieszczono napis: "Dont tell Hitler — T... S... celebrated" (nie mówcie Hitlerowi.. Times Square świętował Sylwestra po swojemu"). A na Broadwayu staruszek podobny do naszego eksprezydenta Wojciechowskiego i siwa pani przechadzali się z wielkimi kartonami. na których widniał niepokojący napis: — "Eternity! where will you spend it?" — (Gdzie zamierzacie spędzić wieczność?).

A dzisiaj? Dzisiaj chłopcy karmieni witaminami ABCD, chłopcy wychowani na zasadach lincolnowskich, kopiący piłkę nożną, ale łagodni dla psów i kotów, popychający wózki z własnemi babies po alejach Centralnego parku — biją się z Japończykami w dżunglach Pacyfiku, biją się z zaciekłością z jaką ich pradziadowie walczyli z Indjanami. Cudne lale z piątej Avenue, dzisiaj w mundurach WACS i WAVES i SPARS mogłyby niejedną opowiedzieć przedziwną historję o swych przygodach na Bataanie, o legendarnym Wainewrighcie, o przeżyciach w Tunisie, w Nowej Gwineji wśród rannych żołnierzy Mac Arthura, na okrętach torpedowanych, na bombowcach ściganych przez Zera i Messerschmity, w konwojach przedzierających się przez kry lodowatego oceanu.

A mayor La Guardia już nie płacze, że go nikt nie lubi tylko z pewnością siebie dobrego gospodarza przemawia co niedziela do swych dzieci, które sobie nieźle wychował i to w rekordowo szybkiem tempie, a bez frazesów.

W tem właśnie tkwi sekret Ameryki. Oni mają slogany, ale nie cierpią frazesów, koturnów nie noszą, zacnowują poczucie humoru i anglosaskie poczucie umiaru w chwilach najkrytyczniejszych, mylą się, ale się do pomyłek przyznają, niema w nich nic z niemieckiej maniery, "gęsiego kroku", sztywnej, nienaturalnej postawy wobec życia. Oni są tacy właśnie, jak mayor La Guardia, który wyszedł z chaosu pierwszych dni wojny, jakoś tak bezpretensjonalnie i z wdziękiem że mógłby sobie w herbie miasta wpisać motto: "Ja to robię z nonszalancją."

OPINJE I ZDARZENIA

NOWE KSIĄŻKI POLSKIE W AMERYCE

"Rój in exile" wydaje w najbliższym czasie parę nowych książek polskich niezależnie od nowej bogatej serji książek polskich po angielsku. "Kultura polska" przedruk wyszłej przed wojną bardzo umiejętnie wybranej przez Kazimierza Hartleba antologji, już wyszła z przedmową Lechonia. Z kolei pójdzie "Literatura Polska" Manfreda Kridla, żywy i głęboki zarazem podręcznik, niezbędny dla każdego Polaka "Polska Literatura współczesna" K Wierzyńskiego, cykl studjów "O literaturze polskiej" Jana Lechonia. Jak z samych tytułów widać — "Rój" prowadzi robotę na wielką skalę.

MAZURKI CHOPIN — HUBERMAN

Bronisław Huberman w świetnym programie swego koncertu w Carnegie Hall dnia 16go, w tę sobotę, pomieścił zupełną nowość: swoje transkrypcje 3 mazurków Chopina (na skrzypce, bez akompanjamentu), które niewątpliwie będą niezwykle cennem wzbogaceniem naszej literatury skrzypcowej.

W NIEDZIELĘ "ECHA POLSKIEJ ZIEMI"

W tę niedzielę dnia 17-go nasz Teatr Artystów otwiera sezon jak zawsze w sali Washington Irving High School widowiskiem, o którem najlepsze echa nas dochodzą z poza nie kulis wprawdzie ale z poza drzwi różnych pokojów w Domu Polskim na St. Marks Place, gdzie odbywają się próby.

Ma być to widowisko rewją najpiękniejszych pieśni, piosenek, wierszy, skeczów starych i nowych, tak ułożoną, aby była naprawdę wspomnieniem Polski i aby dała możność najlepszym naszym artystom, tu przebywającym, pokazać co umieją Od starych piosenek (niektórych bardzo lekkomyślnych) z XVIII wieku, od scenek z "Dam i Huzarów" i "Ślubów Panieńskich" poprzez najlepsze numery warszawskich przedwojennych kabaretów aż do wierszy Lechonia, Słonimskiego, Wierzyńskiego i Wittlina teraz napisanych, aż do "Karpackiej Brygady" Hemara — będzie w tej rewji naprawdę wszystko co najżywszego, najbardziej wymownego, wzruszającego lub śmieszącego — można było pokazać. Doskonały zespół Teatru Artystów — wsparty będzie w niedzielę nowemi siłami pierwszej klasy — Ewą Barcińską, która była gwiazdą Paryża i której podobiznę wszyscy Polacy i paryżanie świetnie pamiętają z afiszów na Polach Elizejskich, ona będzie grać na harmonji, śpiewać po polsku, po angielsku i francusku; w całym szeregu skeczów i monologów wystąpi świetna, pełna charakteru artystka pani Teodozja Bogdańska-Cwojdzińska, znana z tylu doskonale postawionych, zagranych z rozmachem ról w teatrach Szyfmana, wreszcie wystąpi Sielański, jeden z najlepszych komików polskich, nareszcie dla naszego Teatru pozyskany. A pozatem zobaczymy Marysię Modzelewską w olśniewających kokieteryjnych kostjumach z osiemnastego wieku i w repertuarze swoich najlepszych piosenek, Karin Tiche jako Klarę w "Ślubach", Nakoneczną w szeleszczącej sukni Telimeny, Kasię Ożarzewską jako jedną z Dam wojujących z Huzarami. Wilczównę, której wielki talent deklamatorski teraz właśnie się naprawdę w całym blasku pokazuje, wreszcie Ilcewicza w nowych odmianach jego Felków i w tużurku pana z przed trzydziestu lat śpiewającego lwowskie piosenki.

Kostjumy — cuda jak zawsze Ireny Lorentowicz. Ordyński, który był jak wiemy współdyrektorem u Reinhardta i reżyserem w Metropolitan Opera ma oko na wszystko i będzie sam prowadził wieczór, jako konferansjer. To mówi samo za siebie. Aha! I muzyka Eigera, a pani Eigerowa, świetna akompanjatorka przy fortepianie.

ŚMIERĆ KATA ROBOTNIKÓW POLSKICH

"Wyrok został wykonany" — pod tym tytułem podziemne pismo "Wschód", którego ostatni numer otrzymany został teraz w Londynie, pomieszcza opis wykonania przez organizację bojową wyroku śmierci, wydanego na Hugo Dietz'a, szefa Urzędu Pracy w Warszawie, kata polskich robotników.

Ten Niemiec był odpowiedzialny za masowe deportacje z Podlasia, za rekrutację ludności do przymusowych robót, on był odpowiedzialny za niezliczone bestjalskie okrucieństwa, dokonywane bez żadnego powodu. — Torturował bezbronnych ludzi, wywleczonych z domów i skazanych na niewolę; bił po twarzy kobiety. Rozbił setki rodzin, tysiące ludzi skazał na poniewierkę i śmierć. Tyle nienawiści i zwierzęcej pasji wkładał w swoją podłą działalność, że żadna cecha ludzka nie pozostała w tym człowieku Wkońcu miara się przebrała — wyrok zapadł. Hugo Dietz, dyrektor Giełdy Pracy został skazany na śmierć. Ogromny, silny i brutalny Niemiec stchórzył. Nie robił kroku bez ochrony. Kiedy szedł na dworzec albo z dworca — Dietz mieszkał w Otwocku — ktoś zawsze mu towarzyszył, nosząc jego paczki i tekę. On sam szedł szybko, patrząc podejrzliwie na każdego przechodnia, trzymając rękę na ukrytym w kieszeni rewolwerze. Musiał jednak wmówić w siebie, że to tylko groźba, gdyż nie przestał chodzić do biura. 13-go kwietnia przyjechał, jak zwykle, o 7-ej min. 12 w towarzystwie sekretarki. Szedł szybko zwykłą drogą, przez Marszałkowską, Rysią i Plac Dąbrowskiego na Kredytową 1, gdzie mieściło się jego biuro. Dwóch ludzi szło za nim, dwóch innych kilka kroków za nimi. Nie spuszczali go z oka, ale on nie zauważył ich w tłumie.

Marszałkowska, w okolicy dworca, jest zwykle o tej porze bardzo ruchliwa. Ulica Rysia jest krótka i spokojna. To rozegrało się właśnie tam, 20 kroków od Placu Dąbrowskiego. Pierwsza kula zwaliła go na bruk. Sekretarka stała jak skamieniała. Zanim zrozumiała co się stało padło kilka dalszych strzałów. Sekretarka ukryła się w najbliższej bramie. Przebity kulami Dietz jeszcze się ruszał. Przekręcił się na lewy bok. Następne dwa strzały unieruchomiły go, ale jeszcze żył. Nikt nie śpieszył z pomocą, nawet policjant krążący na rogu Marszałkowskiej zawahał się, usłyszawszy strzały. Wkońcu jednak ktoś się zjawił. Dietz żył jeszcze przez kilka godzin. Umarł o godzinie pierwszej po północy, zachowując przytomność prawie do końca. Miał on dość czasu, żeby uświadomić sobie, dlaczego spotkał go taki koniec. Spotkał go zasłużony los.

KOMENDANT WIĘZIENIA "NA PAWIAKU" ZGINĄŁ Z WYROKU POLSKI PODZIEMNEJ

Polskie Koła w Londynie otrzymały szczegóły śmiałego zamachu, wykonanego przez siły Polski Podziemnej na niemieckiego kierownika więzienia na Pawiaku, niejakiego Buercekel'a.

Wyrok ten został wydany przed miesiacem, wykonano go zaś 7-go września o godzinie 10-tej rano.

Znany z okrucieństwa niemiecki komendant Pawiaka Buercekel, czekał na tramwaj na rogu ulicy Marszałkowskiej i Litewskiej, gdy zbliżyło się do niego dwóch mężczyzn. Jeden z nich wyciągnął rewolwer i strzelił do Niemca, trafiając go śmiertelnie.

Od odgłosu strzału grupa uzbrojonych Niemców wyskoczyła z przejeżdżającego tramwaju, rozpoczynając ogień. W tej samej chwili stojący obok drugi Polak skierował na nich ogień ręcznego karabinu maszynowego.

Sześciu Niemców padło na miejscu. — Dwaj Polacy zdołali uciec

Podobny los czeka kierowników i komendantów Oświęcimia, Tremblinki, Majdanka i innych obozów koncentracyjnych w Polsce, gdyż wszyscy skazani zostali na śmierć przez Kierownictwo Walki Cywilnej w Polsce.

TO NIE MY — TO SŁOWIANIE

W Georgetown University w Waszyngtonie odbywa się kurs wojskowej administracji okupowanymi krajami. Jednym z wykładowców jest Goetz Briefs, Niemiec związany z katolickiem Centrum w Niemczech. Otóż ów "wolny Niemiec" wygłosił niedawno do swoich słuchaczy odczyt tak niedorzeczny i zarazem perfidny w intencjach politycznych, że aż niewiarogodny. Bo oto tłomaczył, że sprawę niemiecką można rozwiązać tylko przez wskrzeszenie dawnego Świętego Niemieckiego Cesarstwa Rzymskiego. Zrozumiemy cel tej dziwnej koncepcji, gdy przypomnimy sobie, że do tego Cesarstwa należały Niemcy, Centralna Europa, część Włoch i w pewnym okresie czasu Hiszpanja. Jest jasne, że Goetz Briefs propaguje nietylko to, by Niemcy wyszły z klęski nietknięte, lecz nawet by zostały powiększone przez aneksje innych krajów. Cele Briefsa niewiele się różnią od zamiarów Hitlera.

Nie dosyć na tem. Zuchwałość Briefsa nie zna poprostu granic. Twierdził mianowicie, że prawdziwi Niemcy nie mają nic wspólnego z nazizmem. Nazizm urodził się w Prusach, a Prusy pozostają pod wpływem myśli słowiańskiej.

Amerykanie, którym ów Niemiec tego rodzaju teorje wygłasza, powinni bliżej zapoznać się z historją partji centrowej w Niemczech, której członkiem był Briefs. Przekonaliby się, jak ta partja lojalnie głosowała zawsze za wojną, szczególnie za Wilhelma Ostatniego.

RYWALIZACJA NA BLISKIM WSCHODZIE

Sentorzy amerykańscy, którzy co dopiero powrócili z podróży inspekcyjnej z obszarów wojennych, opowiadają o ostrej rywalizacji, jaka istnieje na Bliskim Wschodzie między Anglją i Rosją.

W zatoce perskiej, gdzie Rosjanie odbierają amerykański sprzęt wojenny, komendant brytyjski przez długi czas sprzeciwiał się, by osiedliła się tam na stałe rosyjska agencja. Rosjanie bowiem już od dawna roszczą sobie pretensje do posiadania zatoki Perskiej. Nawet kiedy władze brytyjskie zadecydowały, że Rosja może tam wysłać swoją misję lotniczą, miejscowy komendant przez długi czas robił trudności.

Obecnie Rosjanie mają tam swoją misje. Przesyłane im amerykańskie samoloty są wypróbowywane przez lotników rosyjskich, którzy codziennie szybują nad zatoką Perską, mając możność dokładnego zapoznania się z jej topografją i urządzeniami portowemi. To też Brytyjczycy śledzą Rosjan z nieukrywaną podejrzliwością.

Gdy Brytyjczycy odnieśli się odmownie do żądania Rosji, by mogła używać lotnisko w Teheranie, armja rosyjska wysłała pewnej nocy cały pułk, który bezceremonjalnie je zajął. Teraz naodwrót muszą Brytyjczycy prosić Rosjan o pozwolenie korzystania z tego lotniska.

DISNEY POLSKIM MARYNARZOM

Walt Disney, sławny twórca filmów rysunkowych, ofiarował oficerom i załodze polskiego okrętu "Dragon" oryginalne rysunki ze swego filmu "The Reluctant Dragon". Jest to pierwszy okręt wojenny, który posiada rysunek Walt'a Disney'a, jako swoją symboliczną oznakę, dotychczas bowiem tylko jednostki armii amerykańskiej używały jego rysunków.

CUDZOZIEMCY W WOJSKU AMERYKAŃSKIM

W ciągu ubiegłego roku 1,425 cudzoziemców służących w wojsku amerykańskim poza granicami kraju, otrzymało obywatelstwo.

Urzędujący Prokurator Generalny Charles Fahy, który podał te fakty do wiadomości publicznej, oświadczył że nigdy przedtem w historji Stanów Zjednoczonych nie zostało udzielone obywatelstwo amerykańskie cudzoziemcom, przebywającym poza obrębem Stanów Zjednoczonych.

Grupa 1,425 nowych obywateli składała się z przedstawicieli 56 narodów i 5 posiadłości brytyjskich. Największą grupę, bo z 335 osób się składającą, stanowili Kanadyjczycy, po nich szli Filipińczycy z 136 osobami. Włochy stanęły na trzeciem miejscu ze 114 przedstawicielami. Polska i Meksyk zajęły razem miejsce czwarte z 96 osobami, a Niemcy piąte z 84.

Pierwszą osobą — Fahy oświadczył — jaka otrzymała amerykńskie świadectwo naturalizacyjne, był młody Grek, porucznik, służący w lotnictwie wojskowym w charakterze pilota.

Cudzoziemiec, służący w oddziałach armji amerykańskiej stacjonowanych poza granicami kraju, ma prawo stać się obywatelem na mocy Drugiej Ustawy Wojennej (Second War Powers Act) jedynie, jeżeli mieszkał w Stanach Zjednoczonych w chwili wstąpienia w szeregi armji Drugim warunkiem uzyskania obywatelstwa jest służba w armji Stanów Zjednoczonych najmniej przez okres jednego miesiąca.

"WIR SEGELN NACH ENGLAND..."

Pismo "Nation", ukazujące się w Zurychu publikuje list, wysłany w dniu 26 lipca 1940 r. przez dyrektora hotelu Bristol w Berlinie do pewnego kupca szwajcarskiego, który często odwiedzał stolicę Rzeszy:

"Szanowny Panie!

W odpowiedzi na list Pana, donoszę, że poleciłem zatrzymać Panu pokój z widokiem na ulicę Unter den Linden na przeciąg 10-ciu dni, począwszy od dnia 28-go sierpnie br.

Pragniemy jednak zaznaczyć, iż jesteśmy zasypywani listami przez 4000 stałych gości z żądaniami zarezerwowania im pokojów, wychodzących na ulicę Unter den Linden, gdyż panuje tu powszechne przekonanie, iż Niemcy w najbliższym czasie zakończą wojnę. Z tego względu, wynajmując te pokoje, zastrzegamy sobie zgóry, by w dniu powrotu z frontu i defilady naszych wojsk, lokatorzy pokojów frontowych zewolili 4-5 lokatorom pokojów podwórzowych na dostęp do ich okien. Warunek ten postawić musimy również i Szanownemu Panu w wypadku, gdyby w dniach jego pobytu u nas wypadła defilada naszych zwycięskich wojsk. W inne dni nikt nie będzie Panu przeszkadzał.

— Dr. Bollbuch
Dyrektor Hotelu"

Nikt też dotąd nie przeszkodził. 4000 starszych panów, którzy chcieli oglądać defiladę. wcielono w rok potem do "naszych zwycięskich wojsk".



Napis "Eviva Toscanini" na zburzonym teatrze "La Scala" w Medjolanie.

ERA LOTNICZA

Asystent lotniczy w amerykańskiem ministerstwie handlu William Burden wygłosił przemówienie na posiedzeniu komisji planowania miast, w którem stwierdził że do roku 1950 około pół miljona samolotów będzie krążyło po niebie amerykańskiem. Na tę imponującą liczbę przypadnie 441,000 samolotów prywatnych, 50,0000 wojskowych i 9,000 transportowców. W związku z rozwojem lotnictwa powstaną setki nowych miast na szlakach komunikacyjnych, a helikoptery zastąpią dzisiejsze taksówki. Rocznie 20 miljonów pasażerów będzie przewoziła komunikacja lotnicza. Lotnisko w Nowym Jorku będzie obsługiwało dziennie 17,300 pasażerów, Chicago 11,000 a Waszyngton 8700.

Wobec tych perspektyw Burden wzywa miasta amerykańskie, by już teraz przystąpiły do planowania i budowy sieci lotniskowej i by opracowały regulaminy ruchu powietrznego, gdyż należy przewidywać ogromne zatłoczenie nieba tysiącami samolotów.

POKAZ 4 NOWYCH FILMÓW POLSKICH

Wydział Filmowy Polskiego Ministerstwa Informacji zorganizował 5-go października pokaz czterech nowych polskich filmów nakręconych w Anglji.

Pierwszy film, p. t. "Najkrótsza Droga" jest filmem dokumentarnym z akcji polskich wojsk spadochronowych. Drugi film, zatytułowany "Kitbags Songs" jest filmem muzycznym, nagranym przy udziale chóru wojska polskiego, pod dyrekcją porucznika Kołaczkowskiego. Chór wykonuje trzy polskie pieśni ludowe i słynną piosenkę szkocką o "Stu Fajkach". Tańce polskie odtwarza Pola Nirenska. Słynny dyrygent Malcolm Sargent opracował objaśnienia do filmu po angielsku.

Trzeci film p. t. "Calling Mr. Smith" jest ciekawym filmem eksperymentalnym w dziedzinie koloru i kombinacji fotograficznych. Obraz ten jest opowiadaniem na temat "kultury nazistowskiej", i jej przejawach w okupowanej Polsce. Tło muzyczne do filmu stanowi muzyka Chopina i Szymanowskiego.

Pamięć Generała Sikorskiego uczczono w czwartym filmie p. t. "Unfinished Journey". Film ten jest przeglądem czteroletniej walki Polaków o wolność pod dowództwem generała W. Sikorskiego. Scenarjusz napisał Ksawery Pruszyński. Komentarz angielski wypowiada John Gielgud, słynny aktor angielski polskiego pochodzenia. Film nakręcił E. Cękalski, jeden z wyróżniających się reżyserów filmowych młodszego pokolenia.

NOWE SZTUKI NA BROADWAYU

Miniony tydzień przyniósł szereg premjer i wznowień na Broadwayu, inaugurując główny sezon teatralny Nowego Yorku.

Na afisz wróciła po kilkomiesięcznej przerwie słynna sztuka ludowa "Tobacco Road" z Johnem Bartonem, która przez sześć lat szła przy wysprzedanej widowni.

W dniu 19 października "The Theatre Guild" otwiera 26-ty sezon teatralny "Othellem" Szekspira z słynnym aktorem i śpiewakiem murzyńskim Paulem Robesonem w roli tytułowej, Jose Ferrerem i Utą Hagen w rolach Jagona i Desdemony. Elmer Rice, znany polskiej publiczności jako autor "Ulicy" (w inscenizacji Perzanowskiej z Jaraczem w roli głównej) wystąpił z nową realistyczną sztuką obyczajową "A New Life" arcyciekawie inscenizowaną, z Betty Field w roli głównej.

W dziale komedjowym zanotować należy dwie premjery: "Another Love Story" Fredericka Lonsdale'a z parą aktorów filmowych Margaret Lindsay i Rolanden Young oraz ciekawą komedję muzyczna Perelman i Nasha "One Touch of Venus" z muzyką Kurta Weila; główne role objęli Mary Martin, Kenny Baker i aktor filmowy John Boles.

NA RYNKU KSIĘGARSKIM

Według listy klasyfikacyjnej "New York Times'a" na pierwszem miejscu wśród t. zw. "best-sellers" powieściowych utrzymuje się nadal "The Robe" Lloyda C. Douglasa, na drugiem miejscu powieść Johna P. Marquanda "So Little Time" a na trzecie wysunęła się niespodzianie książka debjutantki Betty Smith "A Tree Grows in Brooklyn", o której piszemy obszerniej poniżej. "Apostoł" Sholema Ascha jest na szóstem miejscu na liście, "The Human Comedy" Williama Saroyana na siódmem, przyczem podkreślić należy iż na wzrost poczytności tej powieści znaczny wpływ wywarł jej doskonała realizacja filmowa.

W dziale książek reportażowych ostatnia praca Ewy Curie "Journey Among Warriors" znajduje się w pierwszej piątce "best-sellers" obok "Under Cover" J. R. Carlsona, "U. S. Foreign Policy" W. Lippmanna, "Burma Surgeon" G. S. Seagrave'a i słynnego reportażu Kpt. Teda Lawsona "Thirty Seconds Over Tokio".

Z książek znjdujących się na dalszych miejscach podkreślić należy w pierwszym rzędzie wspomnienia Etty Shiber "Paris Underground", który "Book-of-the Month Club" zakwalifikował na miesiąc październik.

"Paris Underground" jest rzadkim dokumentem życia Francji pod okupacją. Autorka, która stała się Edytą Cavell współczesnej wojny, wraz z przyjaciółka Angielką, zamężną za obywatelem francuskim, Kitty Beaurepos, wydostała z obozów niemieckich 150 żołnierzy brytyjskich i przeprowadziła ich przez granicę do nie okupowanej Francji. Zaaresztowana przez Gestapo i skazana na kilkuletnie ciężkie więzienie — została w Lizbonie wymieniona za słynnego szpiega niemieckiego skazanego w U. S. A. Johanne Hoffmann ze statku "Bremen".

NOWY TALENT W POWIEŚCIOPISARSTWIE AMERYKAŃSKIEM

Objawem rzadko spotykanym nawet w Stanach Zjednoczonych. kraju największych nakładów i rekordowego rynku zbytu książki — jest fakt rozsprzedaży 300 tysięcy egzemplarzy jednej powieści w przeciągu 3-ch tygodni.

Książką tą jest "A Tree Grows in Brooklyn", nieznanej dotąd szerszemu ogółowi pisarki Betty Smith-Jones, która przez szereg lat cierpliwie czekała na dzień sukcesu, pracując literacko nad jednoaktówkami dla amatorskich teatrzyków i sztukami teatralnemi, z któremi obchodziła bez powodzenia impresarjów na Broadwayu.

Karjera Betty Smith jest typowym amerykańskim przykładem dla literatów, iż nietylko t. zw. "gram szczęścia". ale — i przedewszystkiem — lata ciężkiej pracy, prowadzonej z zaciętym uporem doprowadzić mogą do konkretnych wyników.

Autorka "A Tree Grows in Brooklyn" była przez szereg lat nieświadoma swego bezsprzecznie wielkiego i szczerego talentu, pędząc normalne życie amerykańskiej "house-wife". Po rozwodzie, wysławszy obie córki do szkoły, postanowiła zarabiać na ich utrzymanie piórem i pierwszym jej krokiem było uzupełnienie własnego wykształcenia. Wstąpiła do college'u, uzyskała tytuł magistra literatury (A. B.), ukończyła University of Michigan a następnie trzyletni kurs dramatopisarski w Yale Drama School.

Początki nie były łatwe. Betty pisała nowele dla detroickich pism, była lektorka tekstów dramatycznych w Federal Theatre Project, aktorką w letnich teatrzykach objazdowych i mieszkała w małem mieście prowincjonalnem Chapel Hill, North Carolina. W ciągu 6-ciu lat napisała 70 jednoaktówek dla amatorskich teatrów i to zajęcie stało się głównem jej źródłem dochodu, nieprzekraczającem nigdy sumy $100 miesięcznie.

Gdy nadszedł dzień triumfu — odpłacił jej z nawiązką wszystkie dotychczasowe zawody na polu literackiem. Natychmiast po wyjściu książki, jej prawa filmowe zostały sprzedane za sumę $55,000, firma Metro-Goldwyn-Mayer ofiarowała jej kontrakt na $1,000 tygodniowo za przeróbkę jej dawnej powieści seryjnej nadawanej w radjo a sztuka teatralna, na której widniały pod uwagą "nie!" podpisy niemal wszystkich producentów Broadwayu — została z miejsca zakupiona przez znanego impresarja Michaela Todd'a.

Betty Smith, która w międzyczasie wyszła powtórnie zamąż za żołnierza, nazwiskiem Joe Jones — jest zdaniem Winchella i Leonarda Lyonsa najpoważniejszą kandydatką do nagrody Pulitzera.

ZMĘCZENIE ŻYCIEM

Obecna wojna oraz troski, jakie przepełniają współczesnego człowieka, borykającego się z komplikacjami dzisiejszego życia, wywołują wśród wielu ludzi tęsknotę do odosobnienia, do warunków idylicznych, zdala od świata i na łonie natury. Przekonała się o tem autorka książki "Winter Harbor" Bernice Richmond, która opisuje swoje szczęśliwe życie w samotnej, nabytej przez siebie latarni morskiej. Od chwili wydania książki otrzymuje ona setki listów od czytelników z prośbą o informacje, gdzie mogliby również kupić sobie latarnię morską. Niestety Bernice Richmond musiała rozczarować swoich korespondentów, wzdychających za bytowaniem sam na sam z naturą: w Stanach Zjednoczonych niema już latarni morskich do nabycia.

SZLACHETNY PRZYKŁAD

Grupa 14 "Związku Polaków w Kanadzie", mająca swą siedzibę w Sarnia, Ontario, powzięła szlachetną uchwałę, która winna stać się początkiem wielkiej spontanicznej akcji wśród całej emigracji polskiej na świecie. Postanowiła mianowicie przeprowadzić zbiórkę pieniężną celem zebrania funduszu na budowę domu ludowego w jednej ze wsi polskich. Równocześnie członkowie tej grupy zwrócili się z apelem do wszystkich innych grup Związku Polaków w Kanadzie, do Stowarzyszenia Inżynierów Polskich w Kanadzie oraz Polonji w Stanach Zjednoczonych, by zebrano fundusz na odbudowę wsi polskich, szkół i uniwersytetów ludowych oraz na wzniesienie budynków wiejskich, burs ludowych i sierocińców. "Damy w ten sposób — mówi odezwa między innemi — nietylko dowód naszego przywiązania do wsi polskiej, z której się prawie wszyscy tu wywodzimy. ale stworzymy trwały pomnik naszej jedności i trwały przyczynek do dobrobytu naszych najbliższych."

Brawo, Polacy w Sarnia, Ontario!

RAJ ZIEMSKI

Na południu od Honolulu znajduje się mało znana wyspa Rennel. Tubylcy tej wyspy, należący do rasy samoańskiej odznaczają się przystojnością. Przed wojną rzadko zaglądał tam biały człowiek. Wśród mieszkańców stosunek kobiet do mężczyzn jest jak 3 do 1.

Gdy armja amerykańska założyła na wyspie posterunek wojskowy, marynarze zostali przyjęci przez tubylców po królewsku. Nietylko wybudowano dla każdego marynarza osobną chatę lecz naczelnik wyspy przydzielił każdemu po dziewczynie jako gospodyni domu. Marynarze wylegują się pod palmami i prowadzą tryb życia o jakim nigdy nawet nie marzyli.

Lecz i w tym raju ziemskim zdarzają się przykrości. Gdy pewnego dnia zawinął do przystani okręt ze sprzętem i żywnością, kapitan tego statku był świadkiem, jak komendant posterunku karcił ostro jednego z marynarzy za jakieś przekroczenie dyscypliny. "Jeżeli zdarzy się to jeszcze raz — surowo ostrzegał oficer marynarza — odeślę cię natychmiast spowrotem do Stanów Zjednoczonych."

POLACY W ŻYCIU MUZYCZNYM NOWEGO JORKU

Nowojorska orkiestra filharmoniczna pod dyrekcją Artura Rodzińskiego, która wystąpiła w Carnegie Hall w dniach 10 i 12 października z utworami Bacha, Brahms'a, Berlioza, Bartoka, Elgara i Ravela, otwiera cykl niedzielnych serjowych koncertów w dniu 17 b. m.

"Town Hall Endowment Series", rozpoczynająca swój 14-ty sezon, zapowiada występy Wandy Landowskiej i Jana Kiepury.

W Carnegie Hall odbędzie się w dniu 16 października recital skrzypka polskiego Bronisława Hubermana, a w dniu 20 października koncert fortepianowy Artura Rubinsteina.

POLITYKA I LOGIKA

Światowej sławy uczony polski, Bronisław Malinowski opowiadał w kole przyjaciół treść rozmowy, jaką przeprowadził w czasie Pierwszej Wojny Światowej z wodzem afrykańskiego szczepu kanibalów:

— Gdy murzyn dowiedział się o przebiegu wojny, zapytał mnie ze zdziwieniem, jak mogą Europejczycy zjadać tak duże ilości zabitych przeciwników bez szkody dla zdrowia. Wyjaśniłem mu, że Europejczycy nigdy nie zjadają wrogów. Zdziwienie jego przeszło w nieukrywane oburzenie nad bestjalstwem białych, którzy prowadzą wojnę bez istotnego i realnego celu.

WYSPA HISTORYCZNA

Wyspa Kos, na której odbywają się teraz krwawe zapasy, należy do grupy wysp Dodekanezu i jest przeważnie zamieszkała przez Greków. Na Kosie urodził się wielki lekarz starogrecki, ojciec medycyny, Hipokrates. Pozatem jest ona miejscem rodzinnem poety greckiego Philitas'a i malarza Apelles'a.

AUTENTYCZNE

Jedna z nowojorskich tancerek otrzymała list od ukochanego, który jest żołnierzem armji amerykańskiej "somewhere in the Pacific Area". Gdy otworzyła kopertę — znalazła w niej jedynie wąski skrawek papieru i kilka słów: "Pani przyjaciel nadal panią bardzo kocha ale zadużo mówi. Cenzor."

TYGODNIK POLSKI
POLISH WEEKLY
Redakcja i administracja:
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel.: Regent: 7-4168

Wydawcy: Koło Pisarzy z Polski. Association of Writers from Poland.

Komitet redakcyjny: Zenon Kosidowski, Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński.

Prenumerata: mies. 40 cts — kwart. $1.20 — półr. $2.40 — roczn. $4.50.

W sprawie ogłoszeń prosimy porozumieć się z administracją.

W Detroit, Mich. sprawy "Tygodnika Polskiego" załatwia: Księgarnia Ludowa M. Żukowskiego, 5347 Chene Street — Tel. Plaza 2479.